

Rodzina

11. VI. 1961

Nr 24(49) • ROK II

WARSZAWA

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Cena 2 zł



O ŚW. ANTONIM BEZ DEWOCJI



NA TRZECIĄ NIEDZIELĘ PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

CELNICY i grzesznicy gromadzili się około niego, aby go usłyszeć. Na co faryzeusze i uczeni zakonnymi szemrali, mówiąc: Ten z grzesznikami się przyjaźni i jada z nimi. A on taką im na to powiedział przypowieść: Kto z was choćby miał sto owiec a zgubiłby z nich jedną, nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i nie szuka zagubionej, póki jej nie odnajdzie? A gdy ją znajdzie, bierze ją z radością na swe ramiona i wraca do domu, a zwołując przyjaciół i sąsiadów, mówi do nich: Cieszcie się ze mną, bom znalazł owieczkę, którą zgubiłem. Powiadają wam, że równie wielka będzie w niebie radość z pokuty jednego grzesznika, jak i ze sprawiedliwości dziewięćdziesięciu sprawiedliwych, którym nie trzeba pokuty.

I któraż niewiasta, gdy z dziesięciu drachm zgubi jedną, nie zapala świecy i nie zamiata domu, szukając pilnie, dopóki jej nie znajdzie? A gdy ją znajdzie, czyż nie zwołuje sąsiadki i przyjaciółki i mówi: Cieszcie się ze mną, bom znalazła drachmę zgubioną. Taka, powiadają wam jest radość wśród aniołów Bożych z pokuty jednego grzesznika.

NIEZALEŻNIE od perykopy Janowej o Dobrym Pasterzu przypadającej na drugą niedzielę po Wielkanocy, dziś jeszcze raz pojawia się motyw dobrego pasterza, tym razem w ujęciu ewangelisty Łukasza. Przyczyną wygłoszenia tej pięknej przypowieści jest szemranie faryzeuszy z powodu obcowania Jezusa z grzesznikami i celnikami. Jak może ów Nazarejczyk, mieniający się doskonałym, przestawać z wyrzutkami społeczeństwa! Jeżeli chce być mesjaszem, to powinien oprzeć się na nich, na faryzeuszach, ludziach doskonałych, świętych, a nie na społecznych mętach.

Jezus przez przypowieści wykazuje niewłaściwość takiego rozumowania: „zdrowi bowiem nie potrzebują lekarza, ale chorzy“. O owce, które są w owczarni jest spokojny chociaż nie twierdzi, że wszystkie są dobre. On przyszedł szukać i ratować przede wszystkim owce zabłąkane.

Trzeba bowiem pamiętać, że istnieje różnica między dobrym, a złym pasterzem. Dobry pasterz pragnie korzyści trzody, zły zaś korzyści własnej. Różnica ta zaznaczona jest już u Ezechiela: „Biada pasterzom, którzy pasą samych siebie. Czyż pasterze nie są do pasienia trzody?“ (34, 2).

Jezus, jako dobry pasterz, dba jedynie i wyłącznie o dobro trzody, i to tak dalece, że zostawia 99 owiec i biegnie za setną, zbłąkaną owieczką, aby ją znaleźć. Jako pasterz duchowy nie omieszka nawet poświęcić swego życia dla ocalenia trzody, gdy trzodzie zagraża niebezpieczeństwo, albowiem ocalenie duchowej trzody przewyższa swą wartością życie ziemskie pasterza. Na to właśnie zwraca uwagę Pan, gdy mówi: „Dobry pasterz duszą swą, to znaczy życie ziemskie, daje za owce swoje“. Daje na mocy powagi swej i miłości, jedno bowiem i drugie jest wyma-

DOOKOŁA osoby św. Antoniego, którego święto przypada w dniu 13 czerwca, narosło sporo legend i nieprawdopodobnych podań nie tylko nie przynoszących świętemu chwały, ale, co gorsza, ukazujących jego osobę w fałszywym świetle przesadnej dewocji. Stało się tak niewątpliwie dlatego, ponieważ św. Antoni był z życia człowiekiem szeroko znanym i lubianym. Stąd, gdy zmarł dodawano do jego niepisanego życiorysu coraz to nowe szczegóły, aż uczyniono zeń postać bardziej niż cudowną — cudowną do nieprawdopodobieństwa.

Tak np. głoszą m. in., że święty miał za życia dar bilokacji, tj. równoczesnego przebywania w dwu miejscach, że głosił kazanie do ryb w Rimini, że paradował z Dzieciątkiem Jezus na ręce po pokoju itp. Autorami i propagatorami tego rodzaju „Fioretti“ (kwiatków) byli sami Franciszkanie. W samej zresztą nazwie świętego kryje się nieścisłość. Wydawać by się mogło bowiem, że św. Antoni dlatego nosi miano Padewskiego, ponieważ pochodził z Padwy we Włoszech. Otóż wcale tak nie jest: pochodził z Lizbony w Portugalii, gdzie się urodził w r. 1195 jako Ferdynand Bullone, a imię Antoni jest jego imieniem zakonnym, natomiast dodatek „z Padwy“ ma swe uzasadnienie w tym, że zwłoki świętego, zmarłego w roku 1231 w Arcella umieszczono w Padwie... To tak samo, jakby naszego wieszaka Słowackiego nazwano „Słowacki z Krakowa“ ponieważ zwłoki jego spoczywają w katedrze wawelskiej.

Namnożyło się na świecie obrazów i figur przedstawiających św. Antoniego, jako młodzieńca o miękkih, bez mała kobiecych rysach twarzy, bez zarostu, podczas, gdy w początkowej fazie kultu, przez dobre cztery wieki od śmierci świętego, sztuka przedstawiała go raczej jako potężnej budowy kaznodzieję, o rysach zdecydowanie męskich, z brodą (np. u Murilla, r. 1632).

Antoni nie był, jak wynika z życiorysów, człowiekiem mdłym, ślamazarnym, zatapia-

jącym się w wizjach nadziemskich i przesadnej dewocji — tak właściwej jego czasom. Był w całym tego słowa znaczeniu człowiekiem czynu. Posiadał gruntowną wiedzę, zwłaszcza wiedzę biblijną. Był pierwszym franciszkańskim profesorem na uniwersytecie w Bolonii. Obdarzony krasomówstwem kazał, gdzie się dało, a kazania jego poruszały szerokie rzesze wiernych i tych, którzy z drogi prawdziwej wiary zeszedli. Był jeszcze jeden moment decydujący o powodzeniu kazań św. Antoniego. Święty głosił ewangelię, ale wiązał ją z współczesnym życiem, żądał poprawy doli ludzi, warstw ubogich, wzgardzonych, występował przeciw licznym (aż 30-procentowej), wyżyłskowi, zdzierstwu, gwałtom i wojnom. Pod tym względem można św. Antoniego nazwać rewolucjonistą swojej epoki, a w każdym razie demokratą.

Mimo zajęć zakonnych i duszpastersko-społecznej działalności, św. Antoni znalazł dość czasu, aby pozostawił potomności szereg dzieł na piśmie, a m. in. doskonały komentarz do Psalmów.

I pomyśleć, że to wszystko zdziałał przez 36 lat swego ziemskiego żywota!

Czegóż więc potrzeba było, aby szanowanego i lubianego powszechnie za życia Antoniego ogłosić świętym? Dokonano tego w niespełna rok po jego śmierci. I słusznie.

Niesłusznie zaś ludowa dewocja nagromadziła wokół świętego lukrowanych cudów, legend i nieprawdopodobnych historyjek, usuwając tym samym w cień jego rzeczywiste zasługi i wypaczając jego piękną sylwetkę. Bo i czymże jest rzekomo cudownie zachowany przed zepsuciem śmiertelnym język świętego, czym cudowne widzenia i rzekomy patronat nad zagubionymi przedmiotami w porównaniu z bezspornie wielkim charakterem, osobistą świętością i służbą dla bliźniego, jaką odznaczał się święty Antoni. Kościół Polskokatolicki nie pragnie czcić świętych dla mitów i legend, lecz dla rzeczywistych zasług, jakie dla Bożej sprawy i ludzkości ponieśli za życia.

gane: to, by do niego trzoda należała i — by ją miłował, pierwsze bowiem bez drugiego nie wystarczy. „On życie swe za nas położył i my powinniśmy kłaść życie za braci“ (I Jan 3, 16)...

Jezus Chrystus jest bezinteresownym pasterzem. Swą pasterską służbę wypełnia z miłości ku wiernym. Cieszy się ze znalezienia zagubionej owcy, z nawróconego, pokutującego grzesznika.

A jak jest w stosunkach ziemskich? Czy pasterze, których Jezus uczynił szafarzami swych łask i powiernikami swych tajemnic — szukają zagubionej owcy czy też zapłaty, zbawienia powierzonych swej pieczy dusz, czy też materialnych korzyści? Czy ze spokojem nie pozwalają ginąć owcom, które schodzą na manowce, czy niekiedy nie przyczyniają się nawet do ich zguby przez wyroki potępienia, ekskomunik i innych kar, którymi chętniej dysponują niż Bożym miłosierdziem i łaską? Owszem, dobry pasterz, naśladowca Chrystusa, może pragnąć zapłaty za swą pracę w owczarni Jezusa, w Kościele, zapłatę bowiem można brać w podwójnym znaczeniu: potocznym i ścisłym. W potocznym znaczeniu wszystko to nazywamy zapłatą, co daje się zasłużyć. A ponieważ życie wieczne, jakim jest Bóg, daje się zasłużyć według słów św. Jana: „On jest prawdziwym Bogiem i żywotem wiecznym“ (I Jan 5, 20), dlatego samo życie wieczne nazywa się zapłatą.

I takiej zapłaty może i powinien szukać

każdy dobry pasterz. W znaczeniu ścisłym zaś nazywamy zapłatą to, co nie przynależy do dziedzictwa. Zapłaty takiej nie szuka prawdziwy syn, któremu należy się dziedzictwo; biorą ją pod uwagę tylko słudzy i najemnicy. A ponieważ życie wieczne jest naszym dziedzictwem, dlatego kto pracuje, i pamięta o tym, pracuje jak syn, kto zaś pragnie czegoś ponadto (pożąda np. ziemskiej wygody, cieszy się zaszczytami przełożenia) jest najemnikiem.

Jakże trudno być dobrym pasterzem! Gdyby Chrystus stanął dziś wśród swoich biskupów i kapłanów — nie wiadomo, czy nie powtórzyłby natchnionych Ezechielowych słów: „Biada wam, pasterze, którzy pasiecie samych siebie“.

Więcej więc należy przejawiać troski o powierzony naszej opiece dusze, szukać zbłąkanych, częściej przebaczać, a mniej potępiać, dźwigać bliźniego, a nie pogrążyć go w rozpacz i bezradności, dbać więcej o dobro dusz, a mniej o własne dobro materialne.

Ks. dr A. NAUMCZYK

NASZA OKŁADKA:
Maria i Marta u stóp Zbawiciela



Ribera: Jezus diskutujący z uczonymi

STAROKATOLICY

Z ZADOWOLENIEM przeczytałem w numerze 18 „Tygodnika Powszechnego” z dn. 30 kwietnia 1961 r. artykuł p. Jerzego Władyki o starokatolikach. Informacje, które dotychczas na temat Kościoła starokatolickiego ukazywały się w czasopiśmie polskich, zwłaszcza w czasopiśmie o orientacji rzymskokatolickiej, były tendencyjne, nieprawdziwe i przeważnie celowo wprowadzały w błąd opinię czytelników, krzywdząc jednocześnie moralnie starokatolików. P. Jerzy Władyka stara się być w swej relacji obiektywnym i ścisłym pod względem historycznym. Odróżniając dobrze i słusnie Kościoły starokatolickie od Kościołów krajowych lub państwowych, nie odmawia Kościołom starokatolickim miejsca wśród rodziny Kościołów katolickich, a to z uwagi na ich stronę doktrynalną i posiadanie drogą sukcesji apostołskiej prawdziwych i ważnych Biskupów, a konsekwentnie prawdziwego i ważnego kapłaństwa Chrystusowego, ofiary mszy św. i sakramentów. Wprawdzie p. Władyka mówi o starokatolikach, których poglądy dogmatyczne uległy wpływom protestanckim, ale odróżnia ich od pozostałych, czyli zachowujących nienaruszonym depozyt wiary apostołskiej i tradycję pierwszych wieków chrześcijaństwa.

P. Władyka wylicza siedem Kościołów starokatolickich zjednoczonych w unii utrechckiej, a wśród nich także Kościół Polskokatolicki. Nie będę polemizował z P. Władyką na temat podanych w Jego artykule cyfr wyrażających liczbę wiernych w poszczególnych Kościołach; na to są statystyki, a one mówią o większej liczbie członków starokatolickich Kościołów niż liczba podana przez szanownego Autora. Jest atoli sprawa inna, daleko ważniejsza od poprzedniej; tą sprawą jest właściwa charakterystyka Kościoła Polskokatolickiego. Dobrze jest w artykule przedstawić ustrój Kościoła w oparciu o Kodeks K.P.K. Dobrze również, że Autor stwierdza, iż „obecnie do unii utrechckiej należy z Polski i wyłącznie ma prawo do nazwy starokatolickiego tylko Kościół Polskokatolicki, uznany w 1946 r. przez państwo” — jest bowiem na to świeższej daty dokument podpisany przez

przewodniczącą unii utrechckiej. Prawda jest, że jeden z biskupów Polskokatolickiego Kościoła „otrzymał sakrę z rąk starokatolików w Utrechcie” (chodzi o Księdza Biskupa Dr M. Rodego, Ordynariusza Kościoła Polskokatolickiego), natomiast nie jest prawdą, że dogmatyka Kościoła Polskokatolickiego odbiega od rzymskokatolickiej w nauce o rzeczach ostatecznych. Kościół Polskokatolicki, podobnie jak Kościół rzymskokatolicki, stoi na gruncie nauki Jezusa Chrystusa zawartej w Piśmie św. i w Tradycji, a jeśli już mowa o różnicach dogmatycznych, to dotyczą one jedynie i wyłącznie odmiennego poglądu na prymat jurysdykcji biskupów rzymskich i nieomylności papieską. Ta różnica istnieje i o niej wyraźnie mówi Kościół Polskokatolicki, uzasadniając odpowiednio swe stanowisko. (por. Bp. Doc. Dr M. Rode, o Kościele Jezusa Chrystusa, W-wa 1961, oraz Ks. Dr. A. Naumczyk, Biblijne podstawy papieżstwa rzymskiego, W-wa 1961 r.).

Niezrozumiałą jest wreszcie dla mnie uwaga Autora poddająca w wątpliwość zgodność zasad wykładanych na sekcji teologii starokatolickiej w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej z zasadami zawartymi w teologicznych podręcznikach fakultetu starokatolickich w Bonn i Brnie szwajcarskim. Oczywiście, że tej zgodności nie ma. Autor, ośmiela się zauważyć, przeczy tą sugestią swym własnym słowom, gdy o kilka zdań wcześniej stwierdza: „przynależność do unii utrechckiej nie oznacza zatem pełnej koordynacji zasad tak dogmatycznych jak ustrojowych sfederowanych w niej społeczności kościelnych.” Wykłady w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej prowadzi nasi profesorowie według zasad zawartych w Piśmie św. i Tradycji. Teologia bowiem z tych źródeł wynikająca nie jest ani rzymska, ani polska, lecz katolicka. Tej teologii uczymy i tę wyznajemy bez obowiązku oglądania się na Bonn lub Berno.

Sądę, że p. Władyka i „Tygodnik Powszechny” darują tych kilka uwag, w których obok słów uznania dla obiektywizmu Autora, pragnąłem sprostować tylko to co było konieczne

Ks. dr A. NAUMCZYK

ODWETOWCOM KU PRZESTRODZE

Na ekranach kin polskich i europejskich wyświetla się dokumentalny film pt. „Mein Kampf”. Są to dzieje Hitlera i hitleryzmu. Film, zmontowany wyłącznie z oryginalnych i autentycznych kronik, w sposób wstrzasający przypomina to wszystko, co przeżyliśmy w latach II wojny światowej, kiedy to barbarzyńcy hitlerowscy poprzez zbrodnie, za wszelką cenę dążyli do zdobycia panowania nad światem. Twórcą scenariusza jest Erwin Leister, dziennikarz niemieckiego pochodzenia.

Leister ukazał, w oparciu o najbardziej oryginalne dokumenty — kronikę filmową, okres walki o władzę Hitlera, jego dojście do władzy i smrotny upadek.

Ktoś powiedział, że film Leistera powinien obejrzeć wszyscy maturzyści Europy. Bez niego egzamin dojrzałości będzie niepełny.

Wymowa tego filmu-dokumentu zawarta jest w konkluzji stwierdzającej, że z winy Hitlera i ludzi urzeczonych wizją wielkich Niemiec zginęło: 24 miliony żołnierzy, zabito 24 miliony ludności cywilnej, z tego 9 milionów wymordowano w obozach koncentracyjnych. Ekran z trudem wchłania te tak potworne cyfry. Nawet usiane trupami pole „katzetu” w Sonnebruch nie jest w stanie dać pojęcia wielkości tej liczby. A przecież jest to oryginalny dokument filmowy.

Po pierwszej wojnie światowej, podczas której na przedpolach Verdun i Marne padły setki tysięcy żołnierzy, po całym świecie szeroko rozległo się hasło: NIGDY WIĘCEJ WOJNY!

W 21 lat potem Europę ogarnęła pożoga drugiej wojny światowej, straszniejszej od poprzedniej.

A dziś znów — niepomni straszliwej lekcji historii — Niemcy w NRF głoszą hasło odwetu. Hitlerowcy coraz butniej podnoszą głowę i coraz śmielej marzą o powrocie do zbrodniczego wczoraj, które poniosło smrotną klęskę wraz z upadkiem III Rzeszy.

W Niemczech Zachodnich jawnie działa organizacja rewizjonistyczna, korzystająca z pełnego poparcia czynników oficjalnych. „Ziemkostwo Niemców Sudeckich” raz po raz daje o sobie znać i publicznie domaga się włączenia do NRF ziemi sudeckiej, zrabowanej przez Hitlera na podstawie haniebnego układu monachijskiego. Rząd Adenauera oficjalnie twierdzi, że stoi na stanowisku powrotu do granic z 1939 r. Dążenie to stanowi zagrożenie dla całości również i naszych granic.

Imprezy rewizjonistów niemieckich muszą budzić niepokój. Na zjeździe rewizjonistów sudeckich, jaki odbył się ostatnio w Kolonii, wziął udział minister adenauerowski Seebohm, który z pianą na ustach mówił o konieczności „skłonienia do odejścia” z terenu Sudetów rządu czechosłowackiego i przeprowadzenia przez osiadłych tam od wieków Czechów i Słowaków i rozstrzygnięcia sprawy Sudetów w ramach „nowego porządku w Europie”. Słowem adenauerowskiego ministra towarzyszyło uroczyste zapewnienie, że rząd zachodniemiecki całym sercem popiera żądania Niemców sudeckich. Dzięki obecności Willy Brandta — socjaldemokratycznego kandydata na stanowisko premiera NRD — manifestacja w Kolonii nabiera szczególnego znaczenia i świadczy o szerokich wpływach odwetowców.

Coraz bardziej wzmagają się nastroje szowinistyczne w Niemczech Zachodnich, podsycane przez ludzi oficjalnie deklarujących swój entuzjazm dla Hitlera i hitlerowskich podbojów.

Odwetowcom, niepomnym klęski poniesionej w 1945 r., warto przypomnieć niesławny koniec tych Niemców, którym marzyło się panowanie nad światem. Film „Mein Kampf” jest wymowną przestrożą dla tych wszystkich, którzy dążą do rozpoczęcia nowej wojny.

SPOWIEDŹ BEZ ROZGRZESZENIA

JERZY LEŚNIAK

MŁODA kobieta miała lzy w oczach.
— Skrzywdził mnie, skrzywdził... a ja tak mu ufałam i tak wierzyłam.

Kiedy po chwili odgarnęła długie, złociste włosy znad czoła, w jej błękitnych i zapłakanych oczach można było dostrzec szczerą chęć podzielenia się swoimi troskami. Usiedliśmy na ławce w parku z dala od miejskiego gwaru.

— Wie pan — podjęła — od dawna chciałam bardzo porozmawiać z kimś z prasy; niech się ludzie dowiedzą, jakimi są często w rzeczywistości ich duszpasterze.

Ta autentyczna historia, którą opisujemy ku pouczeniu i przestrodze, dzieje się w przemysłowym mieście Górnego Śląska — w Koźlu.

Helena C., jak co roku przed Wielkanocą, poszła do spowiedzi. Jej koleżanki gorąco zachwalały spowiednika w osobie ks. — wikariusza jednej z parafii rzymskich, który słynął jako „złotousty“ kaznodzieja gromiący publicznie „jawnogrzeszników“. Ponoć spowiadał krótko, lecz rzeczowo. Rozgrzeszenia także chętnie udzielał, ale...

— Ks. P. po rozgrzeszeniu kazał mi przyjść na plebanię — opowiadała młoda kobieta. — Nie przeczuwałam nic złego. Poszłam. Długo mi się przyglądał. potem kazał raz jeszcze dokładnie przypomnieć wszystkie grzechy i zaszeptał po łacinie jakieś niezrozumiałe słowa modlitwy. W pewnym momencie położył mi dłoń na kolanie i zaczął prawić komplementy. Chciałam odejść, ale przytrzymał mnie za rękę:

— Udzielę ci rozgrzeszenia, musisz jednak być moją. Musisz, podkreślił z naciskiem.

— Poczułam, jak mi serce drgnęło boleśnie, chciałam krzyknąć, uciekać — drzwi były jednak zamknięte na zasuwkę. Od tego czasu prześladował mnie na każdym kroku. Tak chytrze zarazem omotał siecią intryg moją rodzinę, że ta pod różnymi pretekstami i groźbą wysyłała mnie na plebanię. Stałam się więc nałożnicą księdza P.

Historia Heleny przybrała znacznie gorszy obrót z chwilą, gdy okazało się, że jest ona w ciąży. Ks. P. zaczął jej unikać. Wierna Kościołowi rzymskiemu rodzina doradzała „spławić“ bękarta.

Młoda kobieta wyciąga z torebki pomięty list od księdza. Proszę niech pan przeczyta.

„Zrozum, że nie mogę z Tobą więcej się spotykać, bo jestem księdzem. Pieniądzy na przerwanie ciąży nie mam, gdyż żeni się mój brat i muszę mu postać prezent ślubny. Przesyłam więc kapłańskie błogosławieństwo, z którym łatwiej przeżyć wszelkie zgrzyoty na ziemskim padole“.

Jak dalej potoczyły się losy kobiety skrzywdzonej przez podstępny ks. P. i przez niemoralne, społecznie szkodliwe papieskie prawo celibatu?

— Zabiegu przerwania ciąży dokonałam za pożyczone pieniądze — ciągnie Helena. — Po wyjściu ze szpitala, chociaż czułam się słabo, postanowiłam pójść na skargę do Kurii w Opolu. Ks. biskup sufragan cierpliwie wysłu-

chał moją skargę, a gdy usłyszał, że o mojej historii z księdzem P. głośno w Koźlu, zapłonął oburzeniem:

— To tyś zgrzeszyła a nie on — niemal wykrzykiwał.

— Musisz się dużo i gorliwie modlić — ciągnął zdenerwowany — aby miłosierny Bóg darował ci grzech dzieciobójstwa. Idź, pomódl się i wyspiewaj.

Helena nie poszła tym razem do spowiedzi, prawdopodobnie w ogóle przestała wierzyć w Boga i w tych, którzy tak jak rzymski ksiądz wikary obłudnie się mieni jego sługą. Dla świętego spokoju ks. biskup sufragan przeniósł krewkiego wikariusza na parafię do innej diecezji.

Zegnając się z Heleną zrozumiałem, że chociaż historia jej z ks. P. skończyła się, ale krzywda wyrządzona tej kobiecie trwa. Któż bowiem zwróci tej młodej kobiecie jej dobre imię, kto ją pojedna z rodziną, kto natchnie ją szczerą i prawdziwą wiarą w Boga?

Wielki grzech obarcza sumienie ks. wikariego P. i tych wszystkich kapłanów rzymskich, którzy demoralizują i oszukują bliźnich i samych siebie.

Fot. J. Raczyński



PAN Jezus często mówił apostołom i uczniom swoim, że będzie musiał odejść, ale jeszcze im Duchu Św. Wiedział bowiem Chrystus Pan, że byli oni bardzo słabi i niedo- ni i nie mogliby sami prowadzić dalej Jego dzieła i rozsze- rzyć go na całą ziemię. Łatwo mogli wiele rzeczy, o których- mówił, zapomnieć albo nawet zmienić. Byli równocześnie bo- jazliwi i przesładowanie szybko mogło ich zniechęcić. Naj- smutniejsze przecież świadectwo wystawili sobie podczas meki- Pana Jezusa. Znał jest wszystkim nasze polskie przysłowie, które mówi, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Oto ci uczniowie, którzy wiele razy przyrzekali Panu Jezusowi miłość i wierność, w chwili dla Niego ciężkiej opuszcili Go wszyscy, a nawet jeden z nich — Judasz zdradził Go haniebnie. Pan Jezus wiedział więc doskonale, jakimi są Jego aposto- łowie, dlatego powiedział im: „A ja proszę będe Ojca i innego poćszyciela da wam, aby pozostali z wami na zawsze“ (Jan 14, 16).

„Lecz Poćszyciel, Duch Św., którego Ojciec posła w imię moje. On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, cokolwiek wam powiedziałem“ (Jan 14, 26). Wiedzcież! — Chry- stus Pan obiecuje zesłać Ducha Św., aby im wszystko przy- pomniał, co On przez trzynaście lat głosił. Ale uczniom Pana Je- zusa użeba było nie tylko swiata dla umysłu, ale także siły

„WIERZĘ W DUCHA ŚWIĘTEGO“

Rok II Warszawa, 11. VI. 1961 N. 24

STONIECZKO
 Dodatek „Rodziny” dla dzieci
 24

No! „Mruk” poddaj się, bo gdy rzucę kamień do wody, twoja flota pójdzie na dno!

Przestraszony „Mruk” gwałtownym ruchem szarpnął sznurek. Sznurek pękł i uwolniony z uwięzi „Dar Pomorza” prze- chyliwszy się na burtę zaczął płynąć z prądem rzeczki. Chłopcy zamarli z wrażenia. O parę kroków dalej rzeczka skręcała dość ostro, woda była tu głębsza, a brzeg wysoki.

Chłopcy zaczęli biegać bezradnie nie wiedząc, jak ratować łódkę. Stateczek płynął coraz szybciej.

Zrozpaczony „Mruk” uczepił się ręką zwisających gałęzi i przechyliwszy się nad wodą usiłował zatrzymać kijem pły- nący coraz szybciej statek. Serce „Mruka” zamierało z żalu, a oczy zalewały łzy bezsilności. Jego ukochany „Dar Pomo- rza” coraz bardziej oddalał się od brzegu. W pewnej chwili gałęzie nie wytrzymały ciężaru chłopca. Rozległ się trzask i „Mruk” z krzykiem przestachu wpadł do wody. Chłopcy na brzegu zamarli. „Mruk” zachłysnął się wodą i stracił grunt pod nogami. Po chwili szamotania się dotknął stopami dna i chwycił podane z brzegu, związane przez chłopców paski od spodni. Przy pomocy kolegów wy dostał się na brzeg i gdy oprzytomniał ze strachu po niespodziewanej kąpieli — spoj- rzał na rzeczkę. „Daru Pomorza” nie było. „Mruk” mokry i ociekający wodą usiadł na piasku i zapłakał żałośnie, cho- wając głowę w zgiętych ramionach. Chłopcy stali milczący, zawstyżeni i źli na siebie.

Wtem Antek szarpnął „Mruka” za ramię:
 — „Mruk”! Patrz! Tam dalej na brzegu!

„Mruk” zerwał się.
 O kilkanaście kroków dalej za zakrętem rzeczki leżał na tra- wie „Dar Pomorza”, a obok żaglowca leżało coś dużego i czar- nego.

Chłopcy popędzili co sił w nogach i zatrzymali się zdziwieni. Przy żaglowcu leżał pies wyciągnięty na piasku.

— To on wyratował mój statek! Psisko, dobre psisko — za- wołał „Mruk”.

Pies nie ruszał się. Jedno oko było zamknięte i opuchnięte, drugie, zdrowe patrzyło żałośnie i wyczekująco. Z poszarpa- nego ucha sączyła się krew, a na ciele psa widać było kilka głębokich ran.

„Mruk” czuł, jak do serca napływa mu ciepła fala wdzięcz- ności.

— Biedne psisko, jaki pogryziony! On pewnie jest gdzieś z daleka i tutejsze psy go pogryzły — mówili chłopcy.

— A jaki czarny, jak kruk! Dziwił się Antek.



W tej chwili pies uniósł głowę i poruszył ogonem.
 — Pewnie nazywa się Kruk! — zdecydowali koledzy. „Mruk” zbliżył się do psa i delikatnie pogładził go po głowie. Pies przytulił mokry leb do ręki chłopca.

„Mruk” podniósł z ziemi ocalony stateczek. Zagle trochę zmokły i olinowanie się splątało, ale to łatwo da się naprawić. Najważniejsze, że skarb ocalał. „Mruk” spojrzal na psa.

— Nie zostawię go tu — rzekł do chłopców, jest chory i po- trzeba pomocy. Zabiorę go do domu. Trzej niefortunni „Indianie” pomogli „Mrukowi” przenieść psa do domu.

Matka pozwoliła zaopiekować się psem i wkrótce cała ro- dzina polubiła miłego czarnucha. Szybko powracał do zdrowia i stał się nieodłącznym towarzyszem „Mruka”. Tak węc „Mruk” i „Kruk” stali się serdecznymi przyjaciółmi, a chłop- cy, którzy byli przyczyną tej przygody, przychodzili do „Mruka” i przynosili dla psa resztki jedzenia. Dziś „Mruk” nie chodzi samotnie nad rzeczkę. Biegnie z nim wesoło szczekając Kruk, a trzech chłopców czeka na swych przyjaciół.

W pogodne dni pływają po wodzie kolorowe stateczki do da- lekich krajów, a czujne oczy Kruka śledzą uważnie, by nic nie zakłóciło ich spokojnych rejsów.

HUMOR

W SZKOLE

Nauczyciel pyta ucznia:
 — Kowalski, które z polskich miast uważasz za najstarsze?
 — Łódź! — pada natychmiastowa odpowiedź.
 — A dlaczego właśnie Łódź?
 — Dlatego, że miasto to sięga swoją historią potopu z czasów Noego.

KAZIK A WYPRACOWANIE

Nauczycielka kazala napisać dzieciom wypracowanie o jeżu. Oto jak brzmi jedno zdanie z zeszytu Kazika:
 „Jeż jest to taki kaktus wśród zwierząt“...

KAZIK W GRONIE KOLEGÓW

W gronie kolegów Kazik chwali się przed Frankiem
 — Mam wyśmienitą ciotkę. Nigdy mi nic nie powie, nawet gdy coś grubszego przeskrobie.
 — Rzeczywiście, masz wyjątkową ciotkę.
 — Ależ jego ciotka jest niemową — szepce Frankowi do ucha Mietek.

ROK 1932, Wielkanoc w Rzymie. Pierwsza moja Wielkanoc nad Tybrem. Wstrząsnęły mną piękne ceremonie wielkotygodniowe. Zwłaszcza Pasja Męki Pańskiej i nabożeństwa popołudniowe u św. Jana na Lateranie... Chór Perosiego przy Wieczerniku i to niezapomniane Miserere mei Deus, przy gaszeniu po jednej świecy w odstępach, powoli, jak wolno konał na Krzyżu Zbawiciel świata... Tylko jakoś nie podobały mi się te zbyt artystyczne palmy, ofiarowane papieżowi i kardynałom, oraz zwyczaj święcenia sypialni przez kapłanów w wielką sobotę. U nas święci się dary Boże do zjedzenia — tam łożka... Czyżby Italia miała w rozrodności dopędzić Chin? Wprawdzie Mussolini wprowadził odznaczenia dla płodnych matek, ale politycy włoscy i ekonomiści zastanawiają się co zrobić z nadmiarem ludności...

W Wielki Czwartek przyjechała do Rzymu wielka polska pielgrzymka zorganizowana przez Polskie Biuro Poróży „Francopol” pod protektoratem biskupów Adamskiego i Kubiny. Kierownictwo techniczne i artystyczne przejął od „Francopolu” w dużej mierze redaktor G. L., rzymski korespondent I.K.C. Dwóch biskupów, kilkunastu księży, każdy z własną albo z cudzą żoną i wielu, wielu pielgrzymów różnych klas...

Pielgrzymka była na audiencji u papieża. Dołączyłem się do niej z p. Bronisławem Janiszowskim, b. polskim konsulem generalnym R.P. w Rzymie. Był to obywatel polski, który przebywał w Wiecznym Mieście ponad 20 lat, może i więcej. Przyjechał tu na służbę do ambasady carskiej i był sekretarzem ministra rosyjskiego akredytowanego przy Stolicy Apostolskiej... Miał bogate archiwum i cenne materiały z epoki poprzedzającej I-szą wojnę światową i okres cały do Piusa XI włącznie. Jako przyjaciel hr. Wł. Skrzyńskiego wprowadzał go w tajemnicze arkana polityki watykańskiej.

Gdy znaleźliśmy się w salach przeznaczonych na audiencje, już nasi pielgrzymi byli uszeregowani w dwóch długich salach, a biskupi wraz z klerem w pobliżu tronu. Tymczasem kręcili się młodzi kamerdynerzy papiescy w fioletowych sutannach... Półki całowały ich po rękach, myśląc, że to biskupi. Byli zwykłymi lokajami, ubranymi w fioletowe szaty jak na dworze monarchy... Kamerdynerzy nie bronili się i chętnie podawali ręce do całowania, klepiąc „babki” po ramieniu i mówiąc: „Bravo Polacchi”.

— Po czym poznajecie, że to są Polacy? — zagadnął jednego z nich pan Janiszowski.

— Właśnie po szacunku do sutanny — odpowiedział młody, przystojny kamerdyner. — Żaden inny naród nie ma tego zwyczaju, aby duchownego całować w rękę. To robią tylko Polacy. U nas w Italii nawet kardynała nikt nie całuje w pierścień.



Smutne to — zauważyłem cicho. — Wybujałość kultu — dodał konsul J. Punktualnie o godzinie 12-ej wszedł na salę Pius XI w towarzystwie maggiordomo Caccia Domini, dwóch innych prałatów, szambelana w uroczystym stroju, oficerów gwardii pałacowej i szlacheckiej. Po zajęciu miejsca na tronie, powitał polskich pielgrzymów w naszym języku narodowymi słowami:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus... i przypominając ul. Piękną w Warszawie oraz kościół św. Aleksandra wygłosił po włosku krótkie przemówienie, w którym podkreślił swoją wielką miłość do Polski. Na zakończenie udzielił wszystkim apostolskiego błogosławieństwa i przeszedł się wzdłuż szeregów, dając każdemu pierścień do pocałowania... Przy niektórych osobach zatrzymywał się pytając skąd pochodzą. Panie w czasie tej audiencji zsuwały z czoła czarne, wypożyczone ad hoc welony, aby nie zasłaniały oczu. Panowie podkładali pod kolana grubsze chusteczki, gdyż niewygodnie było zbyt długo klęczeć... Posuwając się za papieżem świta monarchy tego świata dawała wyraz wielkiego zadowolenia... Kiedy papież minął nas, marszałek dworu, znający dobrze p. Janiszowskiego, nachylił się do niego i szepnął:

— Avete, Eccellenza papa polacco...

Pan Janiszowski skiniął głową na znak potwierdzenia, że mamy polskiego papieża...

Kiedy po skończonej audiencji schodziliśmy królewskimi schodami w stronę spiżowej bramy, przy której trzymają straż Szwajcarzy w swych malowniczych strojach, słyszeliśmy w rozgarze pielgrzymów słowa zachwyty wypowiedziane przez kapłanów... „Widzieliście naszego, polskiego papieża?”... Janiszowski popatrzył na nich, później na mnie i zaczął mówić:

— Co za ironia. Pius XI jest uważany za polskiego papieża dlatego, że wita Polaków słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” i pyta się, jak tam ulica Piękna w Warszawie... Nie wiedzą ci ludzie, że Niemców wita w ich języku narodowymi słowami: „Grüss Gott” i po niemiecku wygłasza całe przemówienie wraz z błogosławieństwem. Zapominają ci polscy księża powiedzieć swoim parafianom, swoim owieczkom, że w roku 1922 Episkopat Polski zwracał się z orędziem do papieża Benedykta XV, aby zabrał nuncjusza z Warszawy, gdyż jest na usługach kardynała Bertrama z Wrocławia i robi propagandę na Mazurach i Śląsku na rzecz Niemców. Z wnioskiem o usunięcie nuncjusza Achillesa Rattiego wystąpił minister spraw zagranicznych książę Sapieha, Orędzie Episkopatu zawieźli do Rzymu arcybiskupi Teodorowicz i Sapieha. Główne oskarżenia sformułował w Sejmie katolicki działacz Wojciech Korfanty. Są z tego czasu stenografy sejmowe... Po co więc fałszować historię. Dzięki

Piusowi XI, jako nuncjuszowi, przegraliśmy plebiscyt na Mazurach i Górnym Śląsku.

— Mamy pewne porachunki i z przeszłości — dodałem.

— I to jakie porachunki! Z jednej strony nazywali nas „przedmurzem chrześcijaństwa”, a z drugiej wyzyskiwali i w haniebnym sposób sprzedali nasze ziemie. Kazali zdradzić Turków, aby przynieść narodowi hańbę i Warnę... Posłali pod Wiedeń, aby przy rozbiorach Polski ustami Piusa VI rozgrzeszyć Marię Teresę, gdy miała wyrzuty sumienia, że bierze udział wraz z Prusami i Rosją w grabieży ziemi Rzeczypospolitej... Gdy naród powstał zbrojnie o wolność, Grzegorz XVI potępił powstanie 1831 roku, a Pius IX z 1863, nakazał posłuszeństwo zaborcom... Benedykt XV wyraźnie stał po stronie Wiednia i Berlina, pragnąc zwycięstwa Rzeszy i Austro-Węgier, za co Watykan został ukarany tym, że nie brał udziału w układach pokojowych w Wersalu. Szczęśliwie panujący nam „papież polski” Pius XI zrobił wszystko rękoma kardynała, sekretarza stanu, Piotra Gaspariego, aby traktat wersalski, jako „nieprawdliwy dla Niemiec” podważyć i dopomóc Hitlerowi dojść do władzy...

— A Monsignor D’Herbigny? — zapytałem.

— Właśnie, właśnie... Tenże „polski papież” wysłał do Rosji via Ryga prezesa Papieskiej Komisji „Pro Russia” mons. D’Herbignego, aby pertraktował z „Żywą Cerkwią” i przy tej okazji każdorazowo konsekrował w Moskwie jakiegoś kapłana na biskupa, a więc Lotysza, Francuza, Belga, tylko nie Polaka... Dopiero po szeregu wystąpieniach katolików Polaków i zagrożeniu że opuszczą kościół — podczas czwartej wizyty, zresztą ostatniej, monsignore D’Herbigni wykonsekrował biskupa Polaka.

— A kto konsekrował biskupa D’Herbigny? — zadałem pytanie — bo nigdzie w prasie nie czytałem o jego biskupstwie.

— Dokonał tego nuncjusz papieski w Monachium, arcybiskup Eugeniusz Pacelli i to sekretnie, kiedy monsignor D’Herbigny pierwszy raz jechał via Gdańsk i Ryga nawracać Rosję.

— A dlaczegoż aż tak sekretnie?

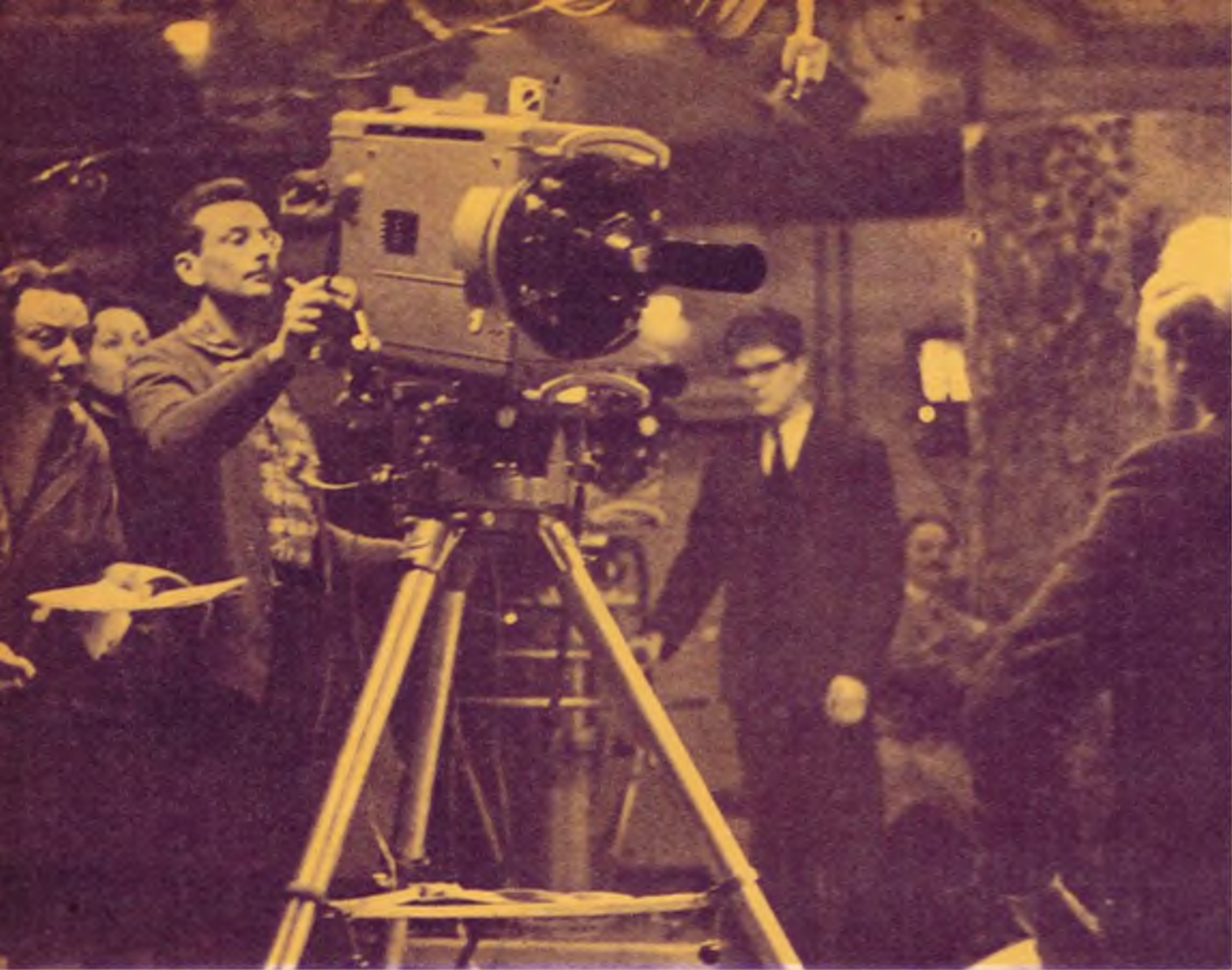
— Aby nie drażnić Episkopatu Polskiego, że bez jego udziału będzie dokonywana wielka polityka papieska i nie dawać Kremlowi wiadomości, jaki istotny cel podróży jest monsignora D’Herbignego.

To dalszy ciąg miłości do Polski Achillesa Rattiego...

Taki to był polski papież!

c. d. n.

JANUSZ CZERWIŃSKI



▲ Miła i popularna

◀ Zakulisowy o

Telewizja w Polsce jest jeszcze dla wielu ludzi atrakcją, choć z każdym rokiem, z każdym miesiącem staje się coraz bardziej powszechna i popularna.

Miło czas upływa przy telewizorze. Narzekamy wciąż, że programy są słabe, że aparaty telewizyjne wciąż się psują. Ale gdy aparat włączymy, na ekranie ukaże się uśmiechnięta spikerka i głosem melodyjnym przemówi, trudno oderwać się od aparatu i przejść do innego pokoju. Dalej mówimy, że to złodziej czasu, że programy są marne, ale przy aparacie siedzimy.

Telewizja ma tę wyższość nad inną „Muzą”, że jest tania i działa na wzrok i na słuch.

Człowiek współczesny pragnie dźwięków, barw, kształtów i ludzkiej treści, w której znajduje cząsteczkę siebie.

Dlatego nie tylko myślenie, ale i telewizja ma w Polsce kolosalną przyszłość, choć stawia jeszcze pierwsze kroki.

Za lat czterdzieści nasza miła spikerka TV — Edyta Wojtczak będzie mówiła do swoich wnuczków: „Czy wiecie, moi kochani, że ja, wasza babcia, byłam pierwszą spikerką TV w Warszawie i uśmiechałam się do milionów widzów!”

Wnukowie będą kiwać głowami i mówić: „Jak to było dawno, kiedy babcia była młoda, a telewizja w powijakach”. Tak samo opowiadać będą swoim wnuczętom redaktorzy, reżyserzy, operatorzy, mikserzy, mechanicy, że oni pierwsi...

Słowem i w telewizji można tworzyć historię. A dziś, oblegamy telewizory aby oglądać najważniejsze wydarzenia w kraju i za granicą, oglądać filmy, czasem wysłuchać dobrego koncertu.

Zanim jednak obraz ukaże się na ekranie telewizyjnym, wiele ludzi, różnych „specjalistów”, bierze udział w tym skomplikowanym twórczym procesie. Nie tylko ludzi, lecz i różnych aparatów. Odwiedzamy studio telewizyjne. Pan Pawłowski, miły inspicjent, udziela nam fachowych wyjaśnień.

Godz. 10 rano. W studio trwają przygotowania do próby generalnej programu publicystycznego w reżyserii Karola Lubelczyka.

Reżyser daje polecenie operatorom kamer oraz personelowi technicznemu.

W jednym programie bierze udział od 25—30 osób. Na pytanie, ile osób zatrudnia wasza „firma”, Pan Pawłowski wyjaśnia, że około 600. Zasadnicze aparaty i urządzenia techniczne, bez których telewizja nie może działać, to: telekino i telerekordring, które umożliwiają odtworzenie programu nagraniem metodą magnetyczną na taśmę telerekordingu.

Sercem studia jest oczywiście pokój naczelnego inżyniera. Stąd bowiem przekazuje się program na antenę nadawczą, która znajduje się na iglicy PK i N

I leci głos, i płyną obrazy do aparatów telewizyjnych, na stacje przekaźnikowe i niosą wiadomości dobre czy złe ale przeważnie prawdziwe, niosą melodie tęskne i wesołe, niosą nadzieję i radość.

ZAPRASZAMY





TELEWIZJA - TELEWIZJA - TELEWIZJA
TELEWIZJA - TELEWIZJA - TELEWIZJA - TELEWIZJA

TEKST E. N. ZDJĘCIA B. NIDECKI

Oto aparatura do odtwarzania filmów — popularne telekino.

erka TV — p. Edy-
czak.

„Sztab” reżyserów dźwięku, wizji i programu.

pracy w studio.



AMY NA TELEWIZJĘ



Uczestnicy programu publicystycznego.

Tak wygląda praca operatora. Przy kamerze p. Elżbieta Klekow.



CIERP i GŁODUJ NAKAZUJE WATYKAN WŁOSKIM NĘDZARZOM

(Korespondencja „Rodziny“ z Rzymu)

Rzym w maju 1961 r.

PATRZĘ z okna mojego pokoju na zalaną słońcem ulicę. Snują się po niej ludzie. Jest samo południe. Słońce w zenicie. Ogarnia mnie fizyczne lenistwo. Za to myśl biegnie szybko.

Wczoraj byłem o 50 km na południe od Rzymu. Przekroczyłem niewidzialną granicę między północnymi a południowymi Włochami. Na południu jest zupełnie inny świat. Poziom życia jest niższy o 40–50%.

POTWORNĄ NĘDZA

Dysproporcje między północnymi Włochami a południowymi są więc ogromne. Na południu ludność spożywa dwa razy mniej mięsa i dwa razy mniej cukru, zużywa cztery razy mniej elektryczności, zarobki są tutaj o połowę niższe niż na północy od Rzymu. Tutaj, na południu, jest dwa razy więcej ludzi zaliczonych do kategorii „bardzo ubogich“.

Potworna nędza jest udziałem południowych Włochów.

Członkowie specjalnej komisji parlamentarnej, których zadaniem było zbadanie warunków życia ludności tego terenu, stwierdzili, że 38% ludności jada śmiesznie mało i mieszka w okropnych warunkach. Nie stać ich na zakup najbardziej codziennych artykułów żywnościowych, nie stać na zakup najbardziej popularnego wina, które na tamtym terenie jest w cenie wody. Ponad połowa ludzi jest nędznie odziana. Codzienny pokarm tych nieszczęśliwych stanowi chleb i makaron. W Neapolu 80 tys. ludzi budzi się codziennie nie wiedząc, czy będą mieli co włożyć do ust w ciągu dnia.

Nędza i głód są tylko jednym z przejawów ogólnego zacofania. Inne — to niska wydajność pracy, upośledzenie społeczne kobiety zarabiającej mniej niż mężczyzna, nieprzestrzeżenie ustawodawstwa społecznego, akcje prowadzone przeciw związkom zawodowym. wreszcie atmosfera przepojona feudalizmem i klęska społeczna, której na imię bezrobocie.

EMIGRACJA I AWANTURNICTWO CHWILOWYM LEKARSTWEM

Z południowych Włoch w pierwszym dziesiątku XX wieku emigrowano masowo w poszukiwaniu pracy za ocean, głównie do USA. I-sza wojna światowa „rozładowała“ nieco „nadprodukcję“ tych ludzi, wybierając spośród nich krwawy haracz na wielu polach bitew. W latach faszystów Mussoliniego awanturnictwo kolonijne i wojenne też zmniejszyło „rezerwy“ ludzkie południa, które dostarczyło największych kontyngentów w wojnie domowej w Hiszpanii (1936–1938 r.) i dla podboju Abisynii (1936 r.).

Słoneczna jest Italia. Ale słońce w tym słonecznym kraju niejednakowo świeci ludziom.

600 ZABÓJSTW

Na Sycylii do dziś działają mafie. Działalność ich i istnienie można obserwować, bawiąc tam nawet przejazdem. Mafie działają głównie w zachodnich okręgach Sycylii. Od chwili zakończenia II wojny światowej dokonano tam ponad 600 zabójstw. Sprawcy 23 morderstw uszli przed wymiarem sprawiedliwości.

Katolicki rząd włoski, świadom zachodzących dysproporcji między południem a północą, postanowił zwiększyć inwestycje właśnie na południu, gdzie kwota sum zainwestowanych nie przekroczyła 16% globalnej sumy inwestycji. Zwiększenie tempa inwestycji ma ulżyć niedoli południowych Włochów. Ale nim słońce wszędzie, rosa oczy wyje. Inwestycje zaplanowane są na okres lat 5, a tymczasem przed południowcami stoi widmo dalszego głodowania, dalszego bezrobocia, dalszej nędzy i dalszego niedostatku.

KSIĘŻA RZYMSCY W SOJUSZU Z WYZYSKIWCZAMI

Na południu Włoch „okopały“ się naprzeciwko siebie dwie siły społeczno-polityczne: watykańska chrześcijańska demokracja i postępowe partie robotnicze. Na razie górą są



watykańscy, którzy mają sprawnie działający aparat oddziaływania w postaci kleru, ambon i konfesonaliów. Ale charakterystyczne, że południowi Włosi, przywiązani tradycyjnie do Kościoła rzymskokatolickiego unikają na co dzień kontaktów z księżmi, ostentacyjnie opuszczają świątynie kiedy ksiądz, wygłaszając kazanie, upomina głodnego i cierpiącego Włocha, że jego chrześcijańskim obowiązkiem jest pokorne przyjmowanie „woli Bożej“ i nie występowanie z żądaniami podwyżki płac, nie podejmowanie strajków ekonomicznych, bo te grozi... naruszeniem porządku społecznego, panującego we Włoszech rzekomo z woli samego Boga.

WATYKAN PRZECIW BIEDAKOM

Reformom gospodarczym i społecznym przeciwstawia się rządząca partia chadecka, natchnienie polityczne czerpiąca z kół watykańskich, które jawnie reprezentują pogląd, że Kościół ma prawo ingerowania w życie państwowe, a wierni winni ściśle stosować się do jego wskazówek. Niestety, ta ingerencja Kościoła z reguły wymierzona jest przeciw biedakom i służy interesom bogaczy.

Tak jak nikt nie zawróci kijem Wisły, tak samo i we Włoszech prędzej czy później dojść musi do zagwarantowania rozsądnego minimum egzystencji dla każdego człowieka pracy. Wiąże się to z koniecznością odejścia od władzy watykańskiej chadecji i przejęcia rządów we Włoszech przez postępowe grupy społeczno-polityczne.

J. DINO



W czasie powrotu z przejażdżki wywiązała się dyskusja. Siedlecki zapytał wręcz ks. Bogusławskiego czego pragnie – pokoju czy wojny.

Kapłan odpowiedział dialogiem książki Cronina „Gwiazdy patrzą na nas”. Trudno sobie wyobrazić Chrystusa z karabinem w ręku.

Starczyński wraca z Krakowa ze szpitala, w którym leży córka, mała Aneczka. Lecz w pensjonacie nie zastaje nikogo. Wisława z synami i 2 sąsiadkami na spacerze.

Jakby osuszyć bagna, a przede wszystkim trzeba wreszcie zlikwidować wszelkie ugory i nieużytki. Tam, gdzie jeszcze w roku bieżącym bujały przeróżne chwasty, w roku nadchodzącym muszą zakiełkować jare zasiewy, by wydać obfity plon. Opowiadał też, jak to niedawno temu był świadkiem rozmowy grupy chłopów z PGR, jednej ze wsi leżącej w pobliżu Poznania. Mówili oni między sobą – będzie więcej mąki, jeśli będziemy jeszcze sumienniejsi w roli pracować; będzie więcej mięsa, jeśli będziemy więcej świń hodować. Będzie lepiej, jeśli będziemy mniej mędrkować, a więcej pracować. Polska, to nie kto inny tylko my i nasi rodacy. Musimy wspólnie dla wspólnego dobra się trudzić. Dobro rodzi dobro, a zło zawsze będzie zło rodziło. Jak rola dobrze uprawiona skoro otrzyma dobre nasienie przy dobrych warunkach wzrostu może tylko dobre wydać plony. Dobry obywatel Polski będzie dobrze dla Polski pracować, a zło jak chwasty na roli będziemy niszczyć.

Ks. Bogusławski dłuższą już chwilę mówił sam. Mówił z zapałem o wsi polskiej, o roli polskiej, o chłopach polskich. Idący od czasu do czasu – dorzucali od siebie jakąś uwagę. Zgadzała się w pełni z tezą ks. Bogusławskiego, że od postawy wsi zależy w poważnej mierze nasz ogólny dobrobyt narodowy. Wprawdzie stajemy się coraz bardziej krajem przemysłowym, ale bez wsi, bez jej równoczesnego uprzemysłowienia i zmechanizowania prac rolnych w najbardziej nowoczesnym tego słowa znaczeniu, zwłaszcza w naszej polskiej rzeczywistości gospodarczej, miasta ze swoim przemysłem nie dałyby rady. Jak to więc dobrze, że widzimy u nas tę pełną, harmonijną współpracę robotnika z chłopem i chłopem z robotnikiem.

– Ksiądz doskonale wygląda – zauważyła w pewnym momencie Starczyńska.

– Być może – odparł ksiądz. Czuję się tu w Zakopanem dość dobrze.

– A cóż to ksiądz robi, że zawsze jest taki wysmukły?

Na pytanie dał odpowiedź Kędziora: – Proszę pani – krótki recept F. d. H.

– Co to znaczy? Czy to jakiś skrót farmaceutyczny?

– Owszem skrót, ale nie farmaceutyczny, nie łaciński jakby się zdawać mogło, tylko niemiecki.

– Po polsku skrót ten ma inne brzmienie – wtrącił Bogusławski – mianowicie: J. i p.p., czyli po prostu jipp.

– Co to znów za czarodziejskie sztuczki?

– To znaczy, proszę was – wy chłopcy też słuchajcie, to wam się może w przyszłości przydać – to znaczy mówił ksiądz celowo odwołując wyjaśnienie – jedz i pij połowę!

– Tak, rzeczywiście ludzie na ogół za dużo jedzą, za dużo piją i za ciepło się ubierają. Stąd więcej chorują z przejedzenia, przepicia, niż z powodu głodu czy niedostatecznego przyrodziwku – stwierdził tonem poważnym Siedlecki, który dotąd cały czas milczał.

– Zapanowała cisza. Słychać było kroki idących. Już zmęczenie poczęło opanowywać wczasowiczów. Zbliżali się do pensjonatu. Sława Starczyńska zauważywszy światło w swoim pokoju, pożegnała się krótkim „dobranoc” i z chłopcami szybko podążyła do pensjonatu.

To samo zrazu chciał uczynić ks. Bogusławski. Przemógł jednak w sobie ciekawość szybkiego dowiedzenia się czegoś konkretnego o stanie Aneczki. Zaproponował niespodziewanie Siedleckiemu jeszcze chwilę przechadzki.

Nie wybierając kierunku poszli po prostu przed siebie. Zrazu milczeli. A po chwili ks. Bogusławski rzekł:

– Pan, panie Romanie, musi być bardzo szczęśliwy. Krótko dopiero pana znam, ale to, co mówi mi o panu moja obserwacja brzmi optymistycznie. Ma pan dobre stanowisko społeczne. Z zapałem i energią pracuje pan nad budową naszej Polski. Posiadając gruntowne i szerokie wykształcenie, a również niemałe już doświadczenie życiowe i zawodowe, jest pan wcale skromny, szczerzy, bezpośredni, nawet wesoły. Jest pan towarzyski. No i żyje pan, mimo skończonych czterdziestu lat, samotnie, trzeźwo, spokojnie. Tak, pan musi być bardzo szczęśliwy!

Siedlecki przystanął. Zatrzymał się więc ks. Bogusławski. Spojrzeli na siebie. Mimo wieczornej ciemnicy w promieniach światła księżyca, stojąc tuż tuż przy sobie, spojrzeli na siebie badawczo. Oczy ich zapalił ognik niepokoju, ale był to niepokój miły. Wyrażały one rodzącą się wzajemną sympatię, a nawet już przyjaźń. Spotkały się pokrewne dusze.

– Tak, poczynam być w pełni szczęśliwy. Nie chcę przez to powiedzieć, bym dotąd był nieszczęśliwy. Nie, to nie. Zacząłem być szczęśliwy od chwili, kiedy mogłem rozpocząć wolną pracę dla naszej odrodzonej ludowej Ojczyzny. Pracowałem dużo i chętnie. Teraz będę pracować jeszcze intensywniej i świadomiej. Ale czułem się taki mimo wszystko sam. Teraz ona, moja Kalinka, oby tylko chciała zostać moją żoną, ona dopełnia tego szczęścia. Stała się dla mnie przez kilka zaledwie dni naszej znajomości jakby stopniem, którego brakowało, by wodę zamienić w parę, w tę parę, której siła tak wielkie i różnorodne potrafi ludzkości dawać dobrodziejstwa. Tchnęła we mnie nowe moce. Dopełniła, tak dopełniła moją całą osobowość. Uintensywnia mnie do pracy! Uszczęśliwia mnie w swoisty sposób. Oj, razem z nią będziemy pracować dla pożytku naszego ludu – razem będziemy prawdziwie szczęśliwi i innych pracą swoją i swoim szczęściem będziemy uszczęśliwiać!... Ale po cóż ja to księdzu mówię? Przecież ksiądz nie wie, co to miłość! Przecież u was ta właśnie najmocniejsza i najbardziej ludzka dziedzina obramowana jest najbardziej drobiazgowymi przepisami, zakazami. Wszystko w tym zakresie nazywacie grzechem. A przecież miłość to szczęście! A przecież miłość z niepoliczalnych myśli, uczuć, uczynków, daje dopiero w sumie – a często dzieje się to nagle – szczęście!

I niespodziewanie zadał księdzu pytanie:

– A ksiądz z pewnością jest w swojej samotności szczęśliwy, prawda?

– Nie po to jest się księdzem, by być szczęśliwym!

– Więc ksiądz nie jest szczęśliwy?

– Wie pan, kochany panie Romanie, pan pierwszy mnie zapytał o tę niewątpliwie bardzo istotną dla każdego człowieka sprawę. Nikt mnie dotąd nie pytał o to czy jestem szczęśliwy. Zresztą komu na tym zależałoby i komu na tym zależy, żebym ja był szczęśliwy?

– A przełożeni księdza?

– Nigdy mnie o to nie pytali: ani rektor Seminarium Duchownego w czasie moich długich studiów teologicznych, ani też biskup. Nie, nigdy nie troszczyli się o mnie jako o jednostkę. Byłem tylko o tyle ważny, o tyle mnie dostrzegano, o ile byłem potrzebny do wykonania prac parafialnych, czy innych zajęć. Jeśli nie sprostałem mym obowiązkom, lub jeśli coś mi się nie udało, spotykałem się z ich niezadowoleniem. Ale z pytaniem: czy ksiądz jest szczęśliwy? – nikt do mnie dotąd się nie zwrócił. Przełożeni również nie.

– A rodzina?

– Chciała być i usiłowała być szczęśliwa choćby nawet wskutek mojego nieszczęścia. Myślała o swoim szczęściu. Nawet trudno przypuścić, aby kiedykolwiek ktoś z mojej rodziny choćby przez chwilę pomyślał: czy on jest szczęśliwy?

– A konfratry?

– Na ogół dola ich równa mojej... W jakim stopniu są szczęśliwi posiadający władzę i kolorowe szaty, trudno powiedzieć, bo trudno poprzez pozę i uroczyste miny wejść w ich serca. Te szaty kolorowe rzymskich dostojników często nawet przyjaciół odmieniają w sposób niepoznawalny. Ale czy one dają szczęście?

– Ja dotąd drogi panie Romanie – mówił dalej ksiądz – czułem się dobrze, kiedy mogłem pracować, zwłaszcza kiedy mogłem ludziom pomagać nie tylko przez kazania ale konkretnie, namacalnie.

– To są czyny krótkotrwałe, mogą też z pewnością dać jakieś zadowolenie, ale czy dały one księdzu wraz z innymi jego posługami szczęście? Czy ksiądz czuł się dobrze, błogo, spokojnie nie dzień, nie tydzień, ale trwale?

*

Połykające gwiazdy Wielkiego Wozu przesłoniła chmurka przejrzysta jak tiulowy welon. Za nią biegła druga, trzecia. Smreki zaczęły się z lekka kołysać i szumieć. Od gór nadchodził wiatr. Niebo zmieniało gwałtownie barwy. Chmury coraz to przesłaniały księżyc. Niewątpliwie nadciągała zmiana pogody. Kończyła się piękna, złota jesień. Wpływała mokra, szara, ponura pora szarugi.

Nigdy dotąd z taką uwagą i skupieniem młodzi Starczyńscy i ich matka nie słuchali słów profesora. A Starczyński opowiadał szczegółowo wszystko, co przeżył w szpitalu w Krakowie, czego się dowiedział o stanie Aneczki i jak ona wygląda w szpitalnym łóżeczku. Starzał się mówić bez specjalnego przejęcia. Spokojnie. Nieraz nawet jakby obojętnie. Kiedy zaś skończył opowiadać, Sława po prostu wyrzuciła pytanie, widać od dłuższej już chwili spočoło ono na końcu jej języka i czekała tylko okazji, przerwy:

– Więc co będzie z Aneczką? Będzie żyła?

– No, odpowiedz!

– Niestety, tego nie wiem.

– Ty nie wiesz, ale co mówią lekarze?

– Nie chcieli mi niczego powiedzieć.

- A który lekarz właściwie głównie opiekują się Aneczką? - spytała jeszcze Starczyńska.
- Doktor Włodzimierz Różański - odpowiedział.
- Kto? Doktor Włodzimierz Różański.
- Kto? Doktor Różański Włodzimierz?
- No, tak! Przecież wyraźnie powiedziałem.
- To na pewno mój brat! To Włodek!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Niedziela, dnia 16 marca 1952. była dniem chłodnym i z rana ponurym. Słońce usiłowało zajrzeć na ziemię, grube jednak zwaly chmur szarych przepuszczały od czasu do czasu słabe tylko refleksy jego promieni. Wiatr świszczał. Hulał po ulicach. Ślizgał się po dachach domów, przelatował ruinami zwalisk Warszawy, smagał twarze przechodniów. Siedlecki, skulony nieco, śpieszył do domu. Kołnierzą płaszczką podniósł wysoko, czapkę wtłoczył na głowę. Wracając po nocnym dużurze w redakcji. Był zmęczony, ale zawsze zadowolony. Wczoraj wieczorem wygłosił wykład o projekcie Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Stuchano go kilkaset mieszkańców jednej z dzielnic Mokotowa. W ogólności omówił cały projekt. W szczególności wszakże analizował artykuły 63, 64 i 65. mówiące o pozytywnym i pełnym opieki stosunku Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej do nauki, literatury i sztuki i ich twórczych pracowników. Z wykładu był zadowolony. Dyskusji niestety nie zdołał rozwinąć. Po wykładzie poszedł wprost do redakcji. Po swoich ostatnich wakacjach pracował intensywnie i radośnie, toteż nocne godziny pracy przy takim nastawieniu i usposobieniu szybko upłynęły.

Na ulicach Warszawy nieduży panował ruch. Ludzie jeszcze spali, wypoczywali po całonocnym trudzie. Cicho przejeżdżały limuzyny i autobusy, ale nie były pełne. Również tramwaje, chociaż z daleka dochodził ich trzask, jechały prawie puste. Kilku też było zaledwie amatorów ciepłego mleka w barze, do którego wstąpił Siedlecki, chociaż z dzień roboczy nawet o tej porze widać tu już mnóstwo śniadających. Uśmiechnięta ekspedientka szybko podała Siedleckiemu ciepłe mleko i bułkę z serem. Mleko parowało. Świeży twaróg na bułce apetycznie pachniał. W barze było czysto. Miło. Pijąc mleko czy kakao wyraźnie z oczu można było wyczytać prawdziwe zadowolenie z uruchomienia tak pożytecznych instytucji. Siedlecki, który tu był dość częstym gościem, wyszedł z lokalu zadowolony. Zrobiło mu się też ciepło. Zresztą nawet i słońce, rozproszywszy w ciągu tego niedługiego okresu siłą swego gorąca gęste chmury, wejrzało na Warszawę i na Siedleckiego, wracającego do swego mieszkania. Zrobiło się też niemal w mgnięciu oka ciepło i radośnie.

Warszawę Siedlecki znał już sprzed wojny. Widział jej ruiny w dwa miesiące po wyzwoleniu przez Armię Czerwoną. Patrzał jak teraz z dnia na dzień przyobleka się w nową szatę. Mieszkał przy Nowym Świecie. Pokój o dwóch oknach, słoneczny, miły, przytulny. Tapczan, pokryty czerwonym pluszem. Regał z książkami. Zamiast biurka dość szeroki stół, zarzucony beładnie dziennikami, przeróżnymi czasopismami, szcztokowymi odbitkami drukarskimi. Stary fotel, dwa krzesła, szafa nie z tego kompletu, stojak do garderoby. I kosz na papiery. Oto umeblowanie pokoju redaktora Siedleckiego. Prawda, na ścianach wisiało kilka ilustracji, a nad tapczanem pocztówkowej wielkości fotografia Kaliny Miłowskiej. Często na nią patrzył. Tęsknił za nią. Wpatrywał się w jej oczy, rozkoszował się malinowymi usteczkami i oryginalnie wysoko zaczesanymi włosami. I uśmiech jej przykuwał go. Wlewał energię. Niecił optymizm.

Dzisiaj dłużej niż zwykle wpatrywał się w fotografię Miłowskiej. Zdjął ją nawet ze ściany. Postawił na stole papierów na środku stołu tak, że słońce okryło ją swoim ciepłym i jasnym światłem. Sam rozebrawszy się, położył się na tapczanie i z małej odległości patrzył na kąpiącą się w złocie słonecznym fotografię swojej Kaliny. Chciał zasnac



z myślą o niej. Ale sen nie przychodził. Wyobraźnia natomiast coraz realniej odtwarzała Miłowską. W pewnym momencie Siedlecki uniósł się na tapczanie, sięgnął po portfel i wyjął z niego plik listów od swojej Kalinki. Położył się wygodnie i nie wiadomo który już raz począł je czytać. Niektóre zdania odczytywał kilka razy.

„Romanie! - po co powiedziałeś profesorowi o naszej miłości? - ...Uważam formę naszej miłości za czystą... tym bardziej, że żadna strona nie ma zamiaru jej splamić, (z listu dnją 7.X.51 r.)

„Romku! Ty, kochany mój! - ...Chcę, abys czerpał chociaż trochę radości z mego istnienia. - Ja ze swej strony będę się usilnie o to starać, bo bardzo, a bardzo chcę widzieć Cię szczęśliwym” (z listu z dnia 10.X.51 r.)

„...Bardzo pragnę w tej chwili przytulić się do Ciebie... bo mimo iż sądzisz, że kocham Cię tylko duchowo, to jednak kocham Cię bardzo” (z listu z dnia 1.XI.51 r.)

„Romanie! - kiedyśmy się ostatnio widzieli, powiedziałaś, że miłość jest ślepa. Przyznaję, że początkowo nie zwróciłam na to uwagi, pominęłam Twoje powiedzenie, jako coś małego. Dopiero dzisiaj analizując Twoje powiedzenie i moją do Ciebie miłość, doszłam do wniosku, że ani u Ciebie, a tym bardziej u mnie jej nie ma. Miłość może być ślepa u tych ludzi bardzo młodych, którzy nie mają jeszcze określonego celu. Celem dla mnie w tym wypadku jest druga osoba i pożycie z nią. Pożycie nie na tydzień, miesiąc, czy rok, ale na całe życie. I dlatego u mnie nigdy, powtarzam z całą stanowczością, nigdy nie zaistnieje ta ślepa miłość. Jestem na to za bardzo trzeźwym i analizującym - filizofującym - jak Ty powiedziałeś - człowiekiem.

Ale, mój Kochany. Ta filozofia ma swoje uzasadnienie, ona jest bardzo a bardzo dobra. Zaraz ci to wytłumaczę.

„Ja za bardzo obserwuję ludzi, ja zastanawiam się nad ich losem, widzę zło, jakie wynika z niedobrych charakterów, a ponieważ widzę je zbyt często i zbyt dobrze, więc boję się, aby i mnie coś podobnego nie spotkało. I właśnie ta obawa spowodowała ostrożność, a to ostatnie moje filozofowanie...”

Siedlecki przerwał czytanie tego listu. Był to najdłuższy z listów otrzymywanych od Miłowskiej i najbardziej zasadniczy. Kiedy go otrzymał, a był on odpowiedzią na jego zbyt nahałność i dość ostre postawienie sprawy zawarcia przez nich już w najbliższym czasie małżeństwa, po pierwszym jego przeczytaniu był właściwie zły. Po drugim jego przeczytaniu począł rozumieć stanowisko Kalinki, bardziej ją jeszcze cenił, za to na siebie złościł się coraz bardziej. I tym razem list ten czytał z coraz rosnącym ku Kalince szacunkiem.

- Tak, ona jest rozważna. Ona ceni swoje dziewictwo.

Ona jest jedyna - powiedział sobie szeptem i zmieniwszy pozycję czytał dalej jej list datowany 1.1.1952 r.:

„Jestem jak człowiek kupujący cenny klejnot i dający za niego wielką cenę, bo samego siebie i to zarówno na dobrą, jak i złą dolę - na całe życie. Klejnot jest cenny, ale i cena jego wysoka. Nie wolno działać szybko i nie wolno być ślepym, bo to się może przedź czy później zemścić. Trzeba być potrójnie ostrożnym. Trzeba wszystko potrójnie rozważyć, aby powiedzieć tak, biorę ten klejnot - i już potem nigdy swego słowa nie cofać.

Ja nie należę do ludzi, a właściwie nie chcę należeć, którzy zaraz mówią „tak“, a po krótkim czasie znowu „nie“ i znowu „tak“ itd. W ważnych zwłaszcza decyzjach jestem bardzo powściągliwa, ale - zdaje się, że to nie jest wada, bo jeśli już powiem „tak“, to ma ono swoje znaczenie i można na nim polegać.

Powiedziałeś też, że miłość moja do Ciebie składa się z fragmentów. Jakże słusznie to powiedziałeś, jak dobrze, doskonale, bo tak jest rzeczywistość. A dlaczego? Właśnie wynika to z tego filozofowania. Na razie są luźne fragmenty mojej miłości, co uzasadnia się następująco:

Powyżej pisałam o człowieku kupującym klejnot. Jego zastanowienia się, spostrzeżenia na korzyść kamienia - to są fragmenty, które zdecydowały o tym czy go kupi, czy też nie. A oto te stwierdzenia, fragmenty odnośnie mojej do Ciebie miłości.

Opiszę je tak, jak się rodziły. Pierwsze wrażenie było nader korzystne - spodobałeś mi się, wzbudziłeś we mnie tak wielkie zainteresowanie, że zapragnęłam poznać Cię bliżej. Pewne zbliżenia powiedziały mi, że jest to coś więcej niż podobanie się, że to raczej rodząca się miłość. Tak, powiedziałam sobie - jeśli to ma być miłość to trzeba ją przeanalizować, aby nie okazała się złą miłością, bo wtedy im prędzej się ją odrzuci tym lepiej - afekt wtedy jest jeszcze w tym nasileniu, że można przez oddalenie zapomnieć.

Zboczę tu na chwilę, by zwrócić Twoją uwagę, że to co powyżej nazwałam rodzącą się miłością dla wielu ludzi jest już samą miłością - nawet jej owocem, szybko więc biorą ślub, to znaczy - obrazowo mówiąc - kupują klejnot nie obejrzawszy go dokładnie, nie stwierdziwszy i nie przeanalizowawszy jego wad i zalet. Poprzestali tylko na bardzo pobieżnym obejrzeniu klejnotu. Ale to się bardzo często mści, bo tylko jeden człowiek na tysiąc, jeśli nie na więcej tysięcy ma szczęście w ślepej miłości.



KOŚCIÓŁ A ŻYCIE SPOŁECZNE

FAKTEM jest, że wszystko co nas otacza ma jakiś widzialny, a często niewidzialny związek z życiem naszym na ziemi, z naszym bytowaniem doczesnym. Nie żyjemy bowiem w próżni, lecz w zorganizowanym społeczeństwie ludzkim, które podlega określonym prawom rządzącym, normującym nasze współzycie.

Wszelkie organizacje ludzkie w realizowaniu swych celów znajdują się w orbicie tej czy innej polityki. Dlatego trudno jest mówić o absolutnej apolityczności Kościoła, skoro Kościół jako zgromadzenie wiernych żyje w określonych warunkach historycznych, a jego wyznawcy biorą czynny udział w życiu społecznym i gospodarczym.

Błędem jednakże byłoby, aby Kościół wiązał się ściśle i wyłącznie z jakąkolwiek formacją społeczno-gospodarczą, czy z systemem politycznym, chociażby na danym etapie społecznego rozwoju wydawał się on najślusniejszym.

Wszystko, co ludzkie, ma cechy zmienności i nietrwałości, a sprawa którą reprezentuje Kościół jest ponadczasową i ponadhistoryczną, przeznaczoną dla ludzi wszystkich pokoleń i czasów. Nie możemy jednak i d e i Chrystusowej, reprezentowanej przez nasz Kościół, zamknąć tylko do samych świątyń, klasztorów czy też regionów metafizycznych. Chcemy z niej uczynić i d e e twórczą, która człowiekowi na ziemi pomoże rozstrzygnąć szereg niepokojących go konfliktów wewnętrznych i rozterek duszy, ideę, która nie tylko pomaga nam przekraczać próg wieczności, ale pomaga również i żyć. Nasze współzycie z ludźmi, braćmi naszymi, nasycić pragniemy treścią ewangeliczną, aby ktokolwiek spotka się z nami mógł dać świadectwo, że są to ludzie, miłujący Boga i człowieka.

Jesteśmy przeciwnikami talmudyczno-doktrynalnego chrześcijaństwa, oderwanego od nurtu aktualnego życia, obliczonego na blichtr zewnętrzny oraz na wizualne efekty i sprowadzonego do czczych deklaracji o miłości.

O wartości bowiem reprezentowanej przez nas idei chrześcijańskiej ma decydować konkretny czyn w stosunkach do innych ludzi, wynikający nie tylko z miłości lecz i ze sprawiedliwości. Sądźmy, że błędem odwiecznym teologii rzymskokatolickiej jest dzielenie człowieka w życiu na ziemi na dwie części składowe, to jest duszę i ciało, które do chwili zgonu stanowią nierozdzielalną całość. Dlatego nie obce są dla nas wszystkie potrzeby człowieka, konieczne do jego duchowego i fizycznego rozwoju w życiu doczesnym.

Nie chcemy zbawiać duszy kosztem wyniszczenia ciała. Pogarda dla życia doczesnego, świadoma rezygnacja z wszelkiej radości obliczona na zapłatę w życiu przyszłym jest hańbą średniowiecza, krzywdą uczynioną chrześcijaństwu przez papieską teologię.

Stworzenie na ziemi warunków społeczno-gospodarczych godnych człowieka – dziecka Bożego, stworzenie równego startu dla wszystkich ludzi, bez względu na pochodzenie społeczne i zasługi rodziców, uważamy za pałąc nakaz religii Chrystusowej. Wszelkie przywileje wpływające z odziedziczonych bogactw, z tytułu urodzenia, rasy, narodowości, czy przynależności do warstwy społecznej uważamy za pogwałcenie praw Boskich, danych nam przez Stwórcę.

Królestwo Boże, o którym jest mowa na każdej karcie Ewangelii, a które Jezus tak wyraźnie polecił budować i modlić się o nie w codziennym pacierzu, ma rozpocząć się tutaj, na ziemi w życiu doczesnym. Królestwo Boże na ziemi to harmonijne życie wolnych ludzi w atmosferze zgody, miłości i braterstwa, gdzie nie ma głodnych i przesyconych, wyzyskiwanych i wyzyskujących, gdzie krzywda moralna czy materialna wyrządzona jednostce jest krzywdą całej społeczności, gdzie wszystkie egoizmy ludzkie są podporządkowane ogólnemu dobru – a dobro społeczne jest najwyższym prawem.

Królestwo Boże na ziemi to stan duchowy społeczeństwa ludzkiego dążącego do względnej doskonałości w życiu doczesnym, a całkowitego zjednoczenia się z Bogiem jako źródłem życia i szczęścia w wieczności.

Jesteśmy humanistami chrześcijańskimi, których celem i ośrodkiem życia jest Bóg, a realizacja praw Boskich w stosunku do

bliźnich jest jedynym widzialnym sprawdzianem naszej wiary i miłości do Boga. Zdajemy sobie sprawę, że Królestwo Boże na ziemi, gdzie Ewangelia Jezusa stanie się Konstytucją ludzkości i źródłem wszelkich praw, nie przyjdzie samo w cudowny sposób. Musi być ono zbudowane sumą wysiłków, poświęceń, wyrzeczeń milionów ludzi różnych pokoleń i czasów, którzy naukę Mistrza z Nazaretu uczynią normą postępowania i drogowskazem życia. Aby jednak życie na ziemi uczynić godne dzieci Bożych, oparte na prawach ewangelicznych, *przebudowa stosunków społeczno-gospodarczych wydaje się nam koniecznością.*

„Święte“ prawo własności, które z taką precyzją w ciągu wieków uzasadniał teologicznie Kościół rzymskokatolicki, należy podać rewizji. Prawo to stało się źródłem zoologicznego egoizmu, środkiem panowania silnego nad słabym, przyczyną nienawiści i walki klasowej.

Głoszenie religii miłości w warunkach rażącej dysproporcji majątkowych, jest czczą deklaracją i trafia w próżnię.

Dążenie do społeczeństwa bezklasowego i wspólnoty dóbr materialnych jest wyraźną cechą młodego chrześcijaństwa co znalazło swój wyraz w „dziejach apostołskich“.

Dlatego pewne procesy społeczno-gospodarcze Kościół rzymski może tylko opóźnić, lecz nigdy nie zdoła zahamować. Prawo rozwoju życia społecznego działa niezależnie od pobożnych życzeń.

Kościół nasz, który związał swe losy z narodem polskim, bierze udział we wszystkim co służy do podniesienia dobrobytu, do rozwoju życia gospodarczego i kulturalnego naszego państwa. Wszystko jednak co dobre, co służy rozwojowi życia na ziemi związane jest z pokojem i braterskim współzyciem między narodami.

Dlatego Kościół nasz czynnie angażuje się we wszystkim, co zmierza do utrwalenia pokoju na świecie.

W najbliższych dniach na Konferencji Pokojowej w Pradze (13–18 czerwca) w tej wielkiej ofensywie pokoju Kościołów Chrześcijańskich rozlegnie się również głos naszego Kościoła... Pragniemy budować pokój, nową, lepszą i szczęśliwszą życie, królestwo miłości Boga i człowieka, aby wszyscy żyli w braterstwie jako wolni i równi z równymi.

E. MONTWILL



W dniu 9 maja 1961 roku przypada dziesiąta rocznica zgonu ś. p. Ks. Biskupa Józefa Padewskiego, długoletniego zwierzchnika naszego Kościoła w Polsce.

W prokatedrze warszawskiej żałobne nabożeństwo w dniu tym odprawił ks. Kanclerz T. Majewski.

J. E. Biskup Ordynariusz Kościoła Polskokatolickiego Dr Maksymilian Rode, w towarzystwie Ks. Biskupa Juliana Pękali i członków Kurii Biskupiej po krótkiej modlitwie złożył na grobie zmarłego biskupa białe-czerwone kwiaty.

Z ŻAŁOBNEJ
KARTY
FOT. J. KRECZMAŃSKI



O BOKSIE SŁÓW PARĘ

Przed laty, kiedy kulem logarytmu i rozwiązywałem różne zagadki matematyczne — kopalem piłkę i uprawiałem biegi płaskie. Nawet raz zdarzyło mi się zająć piąte miejsce w międzyszkolnym biegu (zawodników było aż... pięciu). I ta właśnie przeszłość sportowa (w moim przekonaniu) daje mi tytuł do zabrania głosu w sprawie sportu bokserckiego.

Sport czy mordobicie? Oto pytanie, które stanowi linię podziału między entuzjastami KO a jego przeciwnikami.

Usystematyzujemy pojęcia. Sport (w pojęciu encyklopedycznym) jest to ćwiczenie mające na celu podnoszenie sprawności fizycznej. Sport może być uprawiany indywidualnie lub masowo. Do dyscyplin sportowych, obok szlachetnej lekkoatletyki, wioślarstwa, szermierki, zalicza się, niestety, boks. Piszę „niestety”. A piszę to na podstawie opinii dr Marii Filipowicz, znanego neurologa, która uważa boks za dyscyplinę sportową bardzo szkodliwą.

Dlaczego? Ponieważ wielokrotne ciosy w głowę wywołują w tkance mózgowej poważne zmiany.

Uprawianiu boksowi towarzyszą następujące niebezpieczeństwa:

1. Możliwość nagłego zgonu w czasie walki, spowodowanego bezpośrednio doznaniem urazem;
2. Możliwość stopniowo rozwijającego się kalectwa fizycznego i psychicznego w następstwie sumowania się

wielokrotnie doznanych urazów głowy, powodujących powstanie trwałych organicznych zaburzeń mózgu.

Mówiąc językiem bardziej zrozumiałym, u bokserów rozwijają się zmiany charakterologiczne, zaburzenia równowagi, ograniczenie sprawności ruchowej. Badania przeprowadzone w tej materii wykazują, że 5% mężczyzn uprawiających boks przez okres 5 lat cierpi na chorobę bokserką, a u około 60% walczących na ringu, po tym okresie, rozwijają się zmiany intelektu i uczuciowości, widoczne nawet dla ludzi, którzy ich przedtem nie znali. Szczególnie widoczne były zmiany u młodych bokserów.

Dr Bolesław Alapin, który pracował w Centralnej Poradni Sportowej, miał możliwość jako psychiatra społeczny obserwować reakcje publiczności w toku walk bokserkich. Doszedł do wniosku, że boks jako widowisko sprzyja rozwojowi uczuć agresywnych i sadystycznych, wywołuje uczucie gniewu i budzi szacunek jedynie dla... siły.

A więc boks uznany jest jako sport szkodliwy. Polski boks jest potęgą na międzynarodowych ringach. Czy te sukcesy przypadkiem nie rzutują na stosunek władz sportowych do tej właśnie dyscypliny sportu? Niewątpliwie tak.

Naszym zdaniem, boksu nie można traktować jako szlachetnego ćwiczenia podnoszącego sprawność fizyczną. Boks — na równi z japońskim dzu-dzitsu czy dżudo — może być traktowany jako ćwiczenie podnoszące sprawność fizyczną w celu samoobrony, ale nie powinien być traktowany jako sport. Boks wywołujący niehumanitarne instynkty, powodujący trwałe schorzenia, powinien być zdyskwalifikowany jako gałąź sportu. Tak mi się przynajmniej wydaje.

ADAM KŁOS

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA POWSZECHNEGO

NARÓD I KOŚCIÓŁ ORMIAŃSKI

Niedawno naród ormiański obchodził 40 rocznicę założenia swego państwa. Armenia — to kraj bez cegielni. Wszystkie niemal jego budowle są z naturalnych kamieni. W ostatnich latach także z betonu. Erywań, stolica Armenii Radzieckiej, jest miastem zbudowanym ze skal wulkanicznych, z tufów i bazaltu. Przed kilkoma dziesiątkami lat było to nędzne osiedle.

Dzisiaj Erywań jest miastem przemysłowym liczącym przeszło pół miliona mieszkańców. Jest też nowym centrum orientalistyki. Przed dwoma laty wzniesiono tu gmach, w którym znajduje się państwowy zbiór rękopisów, tzw. Matenadaran. Przechowuje się w nim 10 000 foliów i 2 000 dokumentów w języku ormiańskim oraz 700 wartościowych rękopisów w innych językach. W Matenadaranie znajduje się jedyny w świecie zachowany egzemplarz pisma greckiego stoika Zenona (336—264 przed Chr.). Jest to przekład z syryjskiego na ormiański.

W dawnym centrum ormiańskiego Kościoła gregoriańskiego, w Eczmiadzinie, stoi najstarszy w ogóle kościół chrześcijański — katedra głowy gregoriańskiego Kościoła ormiańskiego. Armenia była pod koniec trzeciego wieku pierwszym krajem, w którym chrześcijaństwo uznano za religię państwową. Kościół miał odłód decydujący wpływ na politykę Armenii. Dziś obowiązuje w Armenii jak w całym Związku Radzieckim rozdział Kościoła i Państwa, ale zapewnia się obywatelom wolność sumienia.

APOSTOŁ NARODÓW I MĘCZENNIK CHRYSZTUSOWY

W roku bieżącym upływa 1900 lat od czasu przybycia apostoła św. Pawła do Rzymu. Obchód jubileuszowy tego historycznego wydarzenia wykracza daleko poza ramy Kościoła rzymskokatolickiego. Św. Paweł nie jest bowiem jedynym spośród innych apostołów, lecz sztandarowym mężem Bożym i apostołem narodów na początku ery chrześcijańskiej. Działalność jego na przedmieściach stworzyła podstawy starożytnego Kościoła chrześcijańskiego, który wyrósł z pierwszych gmin chrześcijańskich.

Nie jest przypadkiem, że obok znanych z Pisma św. podróży misyjnych ap. Pawła do Azji Mniejszej i Grecji tradycja mówi także o podróży do Hiszpanii. Nie wiemy, czy ap. Paweł podróż tę mógł odbyć. Relacja o niej świadczy wyraźnie, że po wielkim apostołe pogan spodziewano się więcej, niż mógł wykonać w ciągu 20 lub 25 lat swojej działalności. Niestety, nie posiadamy pewnych wiadomości o ostatnich latach życia św. Pawła. Listy jego „z więzienia” (do Kolosan, Efezjan, Filipian, do Tymoteusza i Tytusa) sięgają wprawdzie czasów jego pobytu w Rzymie, ale nie prowadzą nas dalej. Wiadomości dotyczą ap. Pawła. W dziejach apostołskich kończą się na jego przybyciu do Rzymu i na przebywaniu tam w ciągu dwóch lat w wynajętym mieszkaniu, gdzie „z całą swobodą i bez żadnych przeszkód głosił wszystkim, którzy do niego przychodzili, Królestwo Boże i pouczał o Panu Jezusie Chrystusie”.

ROZMOWA Z CZYTELNIKAMI

Drodzy Czytelnicy. Tak przyzwyczaiłem się do tych gawęd z Wami, że byłoby mi trudno bez nich się obyć. Czuliłbym się jak kumoszka z małego miasteczka, która nie może iść na kominki.

No, bo powiedzcie sami, czy takie słowa jednego Czytelnika, Pana Cz. Sz. nie wzruszają, gdy pisze: „Chociaż nie upłynął rok od chwili, gdy na drodze mego życia stanęła „Rodzina”, dokonał się przełom we mnie, a ja zrosłem się z Kościołem, który nazywam naszym”.

Panie Czesławie, piszący te słowa 27 lat temu spotkał się nie z „Rodziną”, lecz z „Posłannictwem” i nie przypuszczał wtedy, że będzie w przyszłości jego redaktorem, a później redaktorem „Rodziny” i dziś Bogu dziękuję, że mógł się spotkać z tym czasopiśmie i rozpocząć nowe, twórcze życie. Nie wiem, jak się Pańskie losy potoczą dalej, ale wiem, że „Rodzina” potrzebuje Pańskiej pomocy, by ją coraz więcej ludzi spotykało na drodze życia. Proszę być z nami w kontakcie, a my mile Pana pozdrawiamy.

PANU ST. JANICKIEMU Z WOLSZTYNA za list dziękujemy. Zamówione broszury wysłałyśmy.

Wyklęciem i ekskomuniką ks. proboszcza z Wolsztyna nie należy się przejmować. Niektórym duchownym się zdaje, że żyją jeszcze w czasach Starego Testamentu, gdy rabini w imię Talmuda za nieprawomyślność wyklinali, lub też w okresie średniowiecza.

Nie, wszystkie głosy dziś idą w niebiosa, a jeden człowiek myślący wart jest więcej niż 10 bezmyślnych przeżuwaczy importowanego katolicyzmu.

PAN B. BORYLEWICZ Z KLUCZBORKA zamówienie na broszury nadesłał i miłych kilka słów załączył, za które dziękujemy. Chętnie spełnimy Pańskie życzenie, gdy w Kluczborku będziemy mieli przynajmniej 50 czytelników „Rodziny”. A my tam wciąż czytelników mało mamy, a ciemnogród jest silny. Proszę nam pomóc w tej sprawie. Jeżeli gdzie, to w Kluczborku nie tylko ducha Chrystusowego potrzeba, ale i dużo polskości, aby zblaznić rany po germanizmie, który jeszcze w Kurii Biskupiej rzymskokatolickiej pokutuje. Łączymy pozdrowienia.

PANU ZENONOWI KOWALSKIEMU Z CZELADZI wysłałyśmy zamówione książki i mamy nadzieję, że już otrzymał. Powieść R. Malinowskiego pt. „Jarzmo” prawdopodobnie będzie wydana w całości o czym naszych Czytelników zawiadomimy. Nadmieniamy przy tym, że powieść ta nie jest fikcją literacką twórczej wyobraźni autora, lecz prawdą, w której osoby i fakty są autentyczne.

„Rodzinę” naszą pamięci Pana Zenona polecamy.

PANI JAGODA G. Z PIOTRKOWA, gdy w połowie maja przejeżdżałem przez Piotrków Tryb. zastanawiałem się chwilę, dlaczego Pani Jagoda spośród wszystkich broszur zamówiła „Od celibatu do cudzołóstwa”. Ale któż zbada tajemnice serca kobiety?

Za życzenia mile dziękujemy, aby jednak one stały się rzeczywistością potrzebna nam jest pomoc także ze strony p. Jagody, którą mile pozdrawiamy.

Serdeczny i szczery list napisał do nas PAN JOZEF BABICZ Z ŻAGANIA, który przeczytaliśmy z uwagą. Radzi jesteśmy, że coraz więcej wierzących Polaków i katolików odróżnia zasady wiary KATOLICKIEJ, drogą nam wszystkim, od zgubnej polityki watykańskiej, obojętnej, narzuconej nam przed wiekami, dzięki presji cesarstwa niemieckiego administracji kościelnej z zagranicy.

„Zasłałem Wam serdeczne życzenia Błogosławieństwa Bożego, aby wkrótce we wszystkich Kościołach w Polsce zabrzmiała polska Msza św.”

Gdy czytam te słowa pisane niewprawną ręką polskiego robotnika, to jestem wzruszony i serce bije radością.

Dziękujemy za mile słowa i prosimy o propagowanie „Rodziny” aby ją więcej ludzi czytało. Ściskamy dłoń. Wszystkich Czytelników i pozdrawiamy serdecznie.

IGNISOL „Dx” i „T”

Nie jest to tytuł sensacyjnego „kryminału” ani też kryptonim afery szpiegowskiej. Jest to po prostu nazwa znanych i mało wykorzystywanych w naszym kraju środków ogniochronnych w postaci farb do drewna — „Dx”, i środków impregnychnych do tkanin — „T”, produkowanych przez Spółdzielnię Pracy „Organica” w Łodzi, przy ul. Wołowej 2.

Blizszych informacji zasięgamy u wiceprezesa mgr inż. Leszka Przybyłaka i głównego technologa mgr inż. St. Dyniewskiego.

— Czym należy tłumaczyć fakt — pytamy inż. Dyniewskiego — że farby, które tak olbrzymie zastosowanie winny znaleźć u nas w przemyśle czy też na wsi, gdzie rokrocznie idą z dymem setki zabudowań chłopskich — znajdują zbyt mało nabywców?

— Składa się na to wiele przyczyn — pada odpowiedź — Po pierwsze niedawno rozpoczęto produkcję, bo zaledwie od połowy roku 1959, po drugie produkuje się niewiele, bo około 60 ton rocznie, no i po trzecie — obserwujemy niedostateczne zainteresowanie odpowiednich resortów, np. budownictwa wiejskiego. Farby produkowane u nas mogą znaleźć olbrzymie zastosowanie na wsi, w schroniskach PTTK, w budownictwie przemysłowym, a ceny ich są niższe od cen farb normalnie stosowanych.

Opinia wyrażona przez Wydział Techniczny Komendy Głównej Straży Pożarnej, jak również przez placówkę naukową — Politechnikę Gdańską i Politechnikę Łódzką jest jak najlepsza. Potwierdziły to badania laboratoryjne.

Środki impregacyjne natomiast, mogą znaleźć zastosowanie tam, gdzie używa się tkanin (np. w teatrach, przy dekoracjach wystaw) łatwo dających się nasycić, przez co nabierają one cech trudnozapalności. W ubiegłym roku np. zastosowano środki impregacyjne na Targach Poznańskich przy dekoracji stoisk.

W chwili obecnej kto jest odbiorcą?

— Z poważniejszych naszych kontrahentów należy wymienić Zakłady Usługowo-Produkcyjne, Wojewódzki Związek Ochotniczych Straży Pożarnej w Gdyni — Orłowo i w Krakowie oraz Teatr Wielki Opery i Baletu w Warszawie.

Z czyżej inicjatywy rozpoczęto produkcję nieznanego i mało atrakcyjnego jeszcze — w sensie handlowym — artykułu?

— Inicjatorem wprowadzenia go do produkcji i stosowania na szeroką skalę była niewątpliwie Komenda Główna Straży Pożarnej w Warszawie. Z naszej strony prezes Kwaśniewski, inż. Dyniewski i inż. Przybylak, w ramach uchwały pracowniczkiej, postanowili przystąpić do opracowania technologii i wyrobu, biorąc pod uwagę olbrzymią przydatność społeczną produkcji. Tak więc doszliśmy do ilości 60 ton rocznie, ale gotowi byłibyśmy do wyprodukowania 300 ton rocznie, gdyby było większe zapotrzebowanie. Oczywiście plany musiałyby ulec weryfikacji i należałoby zmniejszyć produkcję farb i emalii normalnie stosowanych. Z uwagi na dużą ilość wytwórni wyrabiających właśnie farby zwykle nie odchodziły się z braku na rynku.

Produkcji na eksport w obecnej chwili nie przewidujemy.

Czy natrafiłicie na trudności w zaopatrzeniu w potrzebne surowce?

— Zaopatrzenie w surowce, tzn. w olej llniany — surowiec podstawowy i pigmenty (biel cynkowa), jest dobre i znajdujemy pełne zrozumienie w Ministerstwie Przemysłu Drobnej i Rzemiosła.

Na zakończenie?

— Ze względu na fakt, że produkcja nasza nie jest obliczona przede wszystkim na zyski, ale ma charakter społeczny, bo wpływa z troski o skuteczne zabezpieczenie przed ogniem mienia społecznego i prywatnego, pragniemy, by wysiłki nasze znalazły zrozumienie wśród szerokich rzesz ludności.

Rozpowszechnienie artykułów produkowanych dałoby nam satysfakcję, że służymy dobrej sprawie, sprawie gospodarki narodowej, o czym jesteśmy głęboko przeświadczeni.

Ponieważ wiemy, że „Rodzina” służy rodzinie na co dzień, dlatego i tę sprawę Czytelnikom Waszym polecamy i chętnie będziemy informować o naszej produkcji i osiągnięciach.

JANUSZ CHODAK



LEKARZ RADZI

DZIECI NERWOWE

Pamiętam zdziwienie matki mego 6-letniego pacjenta gdy powiedziałam, że objawy zauważone u jej synka świadczą, że jest nerwowy. Skąd nerwowość u takiego malca? Co innego my — dorośli, którzy mamy różne zmartwienia, kłopoty. Ale takie dziecko, co to jeszcze niewiele rozumie i niczym się długo nie przejmuję?

A jednak, niestety, nerwowe dzieci spotykamy dość często. Inna sprawa, że objawy nerwowości u dzieci są bardzo rozmaite i często inne niż u ludzi dorosłych. Mogą u dziecka występować lęki nocne i moczenie, obgryzanie paznokci, niepokój ruchowy, jękanie, nadmierna nieśmiałość, czy pewne cechy charakteru, dla których takie dziecko nazywamy „dzieckiem trudnym”.

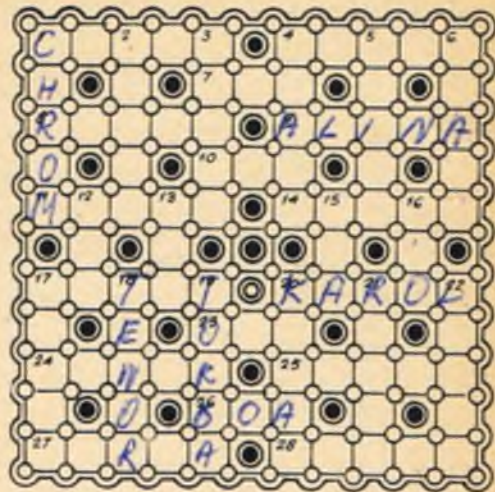
Przynajmniej nerwowości dzieci bywają też różnorakie. Składają się na nie warunki zewnętrzne, stan zdrowia dziecka, atmosfera domowa, ujemne przeżycia i błędy wychowawcze popełniane przez nas samych. Po kolei omówimy przyczyny i objawy nerwowości u dziecka, a na zakończenie zastanowimy się nad zapobieganiem i leczeniu nerwowości dzieci.

Zanim jednak przejdziemy do omawiania szczegółowego przyczyn nerwowości, musimy zdać sobie dokładnie sprawę z tego co nazywamy nerwowością?

Najogólniej biorąc, nerwowością nazywamy zachowanie normalnej działalności układu nerwowego. Reakcje na bodźce zewnętrzne czy wewnętrzne są zbyt gwałtowne lub przeciwnie — działają zbyt słabo. W ciężkich stanach nerwowości bodźce słabe wywołują gwałtowną reakcję, bodźce silne — słabą lub żadną. Czasem bodźce powodują reakcje zupełnie opaczne. Dla łatwiejszego zrozumienia podam parę przykładów:

1. Kilkulatnie dziecko bawi się, jest bardzo zaangażowane swoim zajęciem. Matka mówi mu: „Odlóż wózek. ubieraj się, pójd-

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1) tytuł powieści Iustoja albo... może być świętojański, 4) nie wszystko co się świeci, 7) ojciec literatury polskiej, 8) parady, 9) siostra Balladyny, 10) wada oczu, 11) tytuł powieści Orzeszkowej, 14) twórca „Boskiej komedii”, 17) początek wyścigu albo marka aparatów fotograficznych polskiej produkcji, 20) imię Darwina i Marksa, 23) owad kąśliwy, dopływ Wisły albo skuter polski, 24) pogardliwa nazwa wszystkich innowierców u muzułmanów, 25) marokańska Warszawa, 26) waż dusiciel albo szal futrzany, 27) sąsiadka Konga i Mozambiku, 28) głos męski.

PIONOWO: 1) metal srebrzysto-niebieski używany do wyrobu nierdzewnej stali oraz do pokrywania przedmiotów żelaznych, 2) dźwignia używana do podnoszenia ciężarów, 3) autor „Spizowej bramy”, 4) złot albo... alpejska konkurencja narciarska, 5) gwiazdozbiór... albo marka telewizorów węgierskich, 6) figury o kształcie jajowatym, 12) sąsiedztwo boiska sportowego, 13) część bieżni, 15) Cyganka z „Chaty z wsią”, 16) głębia obrazu, 17) autorka powieści „Witaj smutku”, 18) roślina kwitnąca tylko raz w czasie swego istnienia, 19) pomieszczenie dla małych kangurów, 20) jednostka wagi drogich kamieni, 21) kamień szlachetny barwy czerwonej, 22) słynny reformator kościoła z XVI wieku.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Krzyżówka”. Wśród Czytelników, którzy nadesła prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda:

TECZKA-AKTÓWKA

dziemy na spacer”. Dziecko rzuca się na podłogę, kopie, krzyczy.

2. Nauczyciel zadaje uczniowi pytanie. Uczeń nie wie, nie odpowiada. Na pytanie następnie: „No, co wiesz, powiedz, wiesz czy nie wiesz?” — nadal milczy, opuszcza głowę, czerwieni się. Pytanie pierwsze, na które dziecko nie umiało odpowiedzieć, wywołało w nim odruch zahamowania i zupełne milczenie.

3. Przykładem reakcji opacznej jest postępowanie dziecka, które mimo że jest głodne, zaciska usta i odwraca się od jedzenia, bo nie pozwolono mu się bawić niczym przy obiedzie.

Te przykłady są jednymi z wielu ilustrujących nerwowość. Poważniejsze zaburzenia w działalności układu nerwowego nazywamy nerwicami. Tu jednak będzie cały czas mowa tylko o nerwowości. Zresztą i nerwowość, i nerwice są obecnie uleczalne.

Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej
Redaguje Kolegium

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Telefony: 8-97-84; 21-74-98.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kółportazu Prasy i Wydawnictw „Ruch” Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrocie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy.

Cena prenumeraty: kwartalnie — zł 26, półrocznie — zł 52, rocznie — zł 104.
Cena prenumeraty za granicą jest o 40% wyższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmują na okresy kwartalne, półroczne i rocznej Przedsiębiorstwo Kółportazu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa, Konto Nr 1-6-100024. Zakłady Wkłędodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Zam. 866. S-47.

LAOS

LAOS stał się ostatnio przedmiotem zainteresowania nie tylko mężów stanu, lecz wszystkich myślących ludzi, dla których pokój i wolność są bliskie.

Każde ogniwo wojny może stać się zarzewiem podpalenia świata. Dlatego zawieszenie broni w Laosie i konferencja laotańska w Genewie, w której bierze również udział przedstawiciel PRL, jest bezspornym sukcesem polityki państw pragnących pokoju.

Niedawno odwiedził naszą stolicę i złożył wizytę przedstawicielom naszego Rządu premier Królewskiego Rządu Laosu, książe Souvanna Phouma.

Na zdjęciach poniżej dwaj ludzie o nazwiskach różniących się jedną literą, którzy są wyrazicielami rywalizujących z sobą kierunków politycznych.

Widzimy jednak, że życie rodzinne nie jest im obce.

Nie tylko chłopcy w Polsce lubią rozbić pociski i bawić się bronią.

Chłopiec w Laosie ogląda portak „Made in USA”, nie zważając na sprawy z niebezpieczeństwa.



K A P Ł A N Ó W

potrzeba do pracy duszpasterskiej w kraju i za granicą wśród Polaków w Kościele Polskokatolickim.

Zgłoszenia kierować należy na adres: Kuria Biskupia Kościoła Polskokatolickiego, Warszawa, Wilcza 31.



WYŻSZE SEMINARIUM DUCHOWNE WARSZAWA, ul. Szwoleżerów 4

przyjmuje kandydatów do stanu duchownego.

Ci, którzy pragną poświęcić się służbie Bożej w Kościele Polskokatolickim, winni przestać na adres Kurii Biskupiej w Warszawie, ul. Wilcza 31 podanie dołączając doń:

1) życiorys, 2) metrykę urodzenia, 3) świadectwo szkolne, 4) świadectwo lekarskie, 4) trzy fotografie.

Odpowiedź otrzymają w ciągu 10 dni.